# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata wynosi:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.**
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

**Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

Rok VI. Kraków, 4 września 1909. Nr. 36.

# Zdradziecki podarek.

(Treść na str. 2).



**Nr. 36. „Nowości illustrowanych" zawiera: Pamięci wielkiego muzyka. — Zawody aeronautyczne w Rheims. — Monte-Carlo na dalekim Wschodzie. — Jeszcze kwestya kreteńska. — Wiara uzdrawia. — Włościańskie gniazdo sokole. — Laureatka konkursu piękności w Reichenhall. — Echa wycieczki czeskiej. — Śmierć prowincyonała Bonifratrów w Krakowie. — Teatr włościański w Jedliczu.**

# Zdradziecki podarek.

(Do illustracyi tytułowej).

Ofiarą okrutnej zemsty padł przed paru dniami kapitan-audytor honwedów, Zoltan Matyessy w Koszycach. Wypadek, który go spotkał i który spowodował ciężkie poranienie, jest tem dziwniejszy, że przyczyny są dotąd okryte tajemniczością, a sposób wykonania zamachu przypomina epizody z fantastycznych romansów kryminalnych.

Mianowicie do mieszkania kapitana Matyessy przybył rano koło 9 godziny listonosz i wręczył mu przesyłkę z Budapesztu. Był to pakiet dość duży, wysłany, jak wynikało z adresu przesyłkowego, przez firmę jubilerską Barucha. Wewnątrz miało być srebro i szkło.

Kapitan, choć zdziwiony tą przesyłką, gdyż nie zamawiał wcale srebra, zabrał się do otwarcia pakietu, gdyż adres był zupełnie wyraźnie wypisany i wykluczał wszelkie wątpliwości. Po odwinięciu papierów ukazała się oczom kapitana piękna szkatułka mahoniowa, zamknięta na kluczyk. Kluczyka jednak brakowało. Podniecony ciekawością, postanowił kapitan Matyessy zastąpić kluczyk scyzorykiem. Wieko istotnie wnet odskoczyło. Ale równocześnie nastąpił straszliwy wybuch, którego siła odrzuciła kapitana na drugą stronę pokoju, pozbawiając go oczywiście przytomności i raniąc dotkliwie.

Także w pokoju, gdzie wypadek zaszedł, i w sąsiednich ubikacyach, siła wybuchu wyrządziła sporo szkód. Szyby powylatywały wszystkie, przedmioty, jakie się tam znajdowały, uległy zupełnemu zniszczeniu. Detonacya zwabiła niezwłocznie sąsiadów a nawet przechodniów z ulicy. Znaleźli oni kapitana bez zmysłów na podłodze, a widząc straszne spustoszenie i ciężkie rany ofiary, wezwali niezwłocznie policyę i pogotowie ratunkowe.

Kapitan Matyessy, odwieziony do szpitala, odzyskał tam przytomność. Okazało się, że rany, choć ciężkie, nie są śmiertelne. Przesłuchany przez sędziego śledczego, nie umiał podać żadnych wskazówek, od kogo skrzynka mogłaby pochodzić, ani też, jakie mogły być pobudki zbrodniczego zamachu.

Śledztwo, prowadzone przez policyę, stwierdziło rychło, że przesyłkę nadano w Budapeszcie, w urzędzie pocztowym Nr 4, a zbadanie szczątków pakietu wykazało, że była to maszyna piekielna, zawierająca proch strzelniczy i nitroglicerynę. Sprawca zamachu widocznie nie żałował pieniędzy, bo skrzynka mahoniowa była kosztowna, a konstrukcya maszyny bardzo skomplikowana. Wewnątrz szkatułki znajdował się lejek, napełniony materyałami wybuchowymi. Zakończeniem lejka był wąski języczek, przytwierdzony do wieczka. Z chwilą, gdy przez otwieranie przemocą pokrywki, języczek uderzył w materyał wybuchowy, musiała nastąpić eksplozya.

Co do osoby sprawcy zamachu, przypuszczano pierwotnie, iż w grę wchodzi kobieta, zwłaszcza że kapitan Matyessy był człowiekiem przystojnym i miał dużo znajomości w kołach kobiecych. Dalsze śledztwo jednak ustaliło, że ów zdradziecki pakiet został nadany z polecenia pewnego oficera honwedów, stacyonowanego w jednem z miast prowincyonalnych. Pakiet wręczył on swemu bratu przyrodniemu, gdy ten jechał do Budapesztu, i prosił go, by stamtąd wysłał go do adresata. W następstwie wyników śledztwa aresztowano już kapitana Sebastyana Junga, obwinionego o popełnienie tego zamachu.




Pamięci wielkiego muzyka: Uroczystość odsłonięcia pomnika ś. p. Karłowicza. Fot. J. Jaworski, Zakopane.

## Pamięci wielkiego muzyka.

W lutym b. r. zginął w tragiczny sposób w Tatrach pod Zakopanem znakomity kompozytor polski, ś. p. Mieczysław Karłowicz. Jak wiadomo, wybrał się on na wycieczkę w góry, przywalony jednak w drodze lawiną śnieżną, zakończył życie.

Grono jego przyjaciół i miłośników muzyki, postanowiło uczcić pamięć zmarłego skromnym pomnikiem. Na pomnik ten wybrano blok granitowy. Znajduje się on w bok od małego Kościelca, w zagłębieniu o kształtach leja wygasłego krateru, do którego prowadzi ścieżyna, umyślnie wyłożona głazami.

Sam pomnik tchnie prostotą, powagą i smutkiem. Jest to — jak wspomnieliśmy — blok granitowy, umieszczony na podmurowaniu. Blok ten miał się swego czasu oderwać od swych turni skutkiem ude-



Teatr włościański w Jedliczu: Trupa amatorska w Jedliczu z kierownikiem dyr. Manierskim w pośrodku. (Do art. na str. 10).

rzenia piorunu. Obok bloku, kilka kroków dalej, wznosi się na głazie krzyż; to miejsce, gdzie znaleziono zwłoki ś. p. Karłowicza. Napis, wykuty w ścianie bloku przez artystę-rzeźbiarza p. Szczygielskiego, jest następujący: „Mieczysław Karłowicz tu zginął, porwany śnieżną lawiną dnia 8 lutego 1909 roku. *Non omnis moriar*“.

Odsłonięcie tego skromnego pomnika odbyło się w ubiegłym tygodniu. Przybyli na tę uroczystość smutną wszyscy, którzy w zmarłym pieśniarzu czcili głęboki jego talent, wielbili duszę nawskróś artystyczną. Zjawili się też przedstawiciele tow. Tatrzańskiego i sekcyi turystycznej.

Imieniem komitetu budowy pomnika przemówił pierwszy artysta malarz Skotnicki, oddając cześć pamięci znakomitego muzyka i podkreślając niepowetowaną stratę, jaką społeczeństwo polskie poniosło skutkiem przedwczesnej jego śmierci. Następnie odczytano szereg telegramów, jakie na ręce komitetu nadeszły z całej Polski, poczem przemawiali jeszcze prof. Kulczyński, imieniem tow. Tatrzańskiego i prof. dr. Panek, imieniem sekcyi turystycznej, której tak gorliwym członkiem i współpracownikiem był śp. Karłowicz.

W czasie uroczystości złożono pod pomnikiem kilka wieńców, a to od oddziału narciarzy, od sekcyi turystycznej tow. Tatrzańskiego, od p. Korolewicz-Waydowej, z napisem: „Wielkiego smutku pieśniarzowi“.



**Pamięci wielkiego muzyka:** Grono członków sekcyi turystycznej towarzystwa Tatrzańskiego. Fot. Jaworski, Zakopane.

## Wielki strajk górników.

W ciągu ostatnich lat rozwinął się na zachodnich kresach Galicyi, w zagłębiu krakowskiem i chrzanowskiem, wielki przemysł. Ziemia tam mniej urodzajna, ale bogata w kopaliny, to też kopalń tam dużo i dużo zakładów przemysłowych. A choć kapitały na ten cel pochodzą w znacznej części z rąk obcych, przecież ludność miejscowa, ludność polska, znajduje w nich zarobek, a kraj się wzbogaca i ma własną produkcyę.

Dziś już około 12.000 robotników pracuje w tych stronach kraju, armia więc potężna i silna. Czując tę siłę swoją występuje od czasu do czasu do walki o poprawę bytu, o lepsze warunki pracy. Gdzie zaś drogą dobrowolnej ugody nie mogą zdobyć lepszej doli, tam przystępują robotnicy do walki na ostre, podejmując strajk.

Obecnie jesteśmy świadkami takiej walki między robotnikami, a pracodawcami w kopolniach węgla w Sierszy i w hucie cynku w Krzu, należących do tow. akcyjnych galicyjskich zakładów górniczych. Wybuchł tam w połowie sierpnia strajk, który objął z górą 2500 robotników.

Wrzenie wśród robotników tamtejszych rozpoczęło się już przed paru miesiącami, a to wskutek wieści, iż zarząd kasy brackiej (prowizyjnej) postanowił celem uzdrowieni a finansów tej kasy i usunięcia deficytu, dochodzącego do miliona koron, nałożyć na wszyst



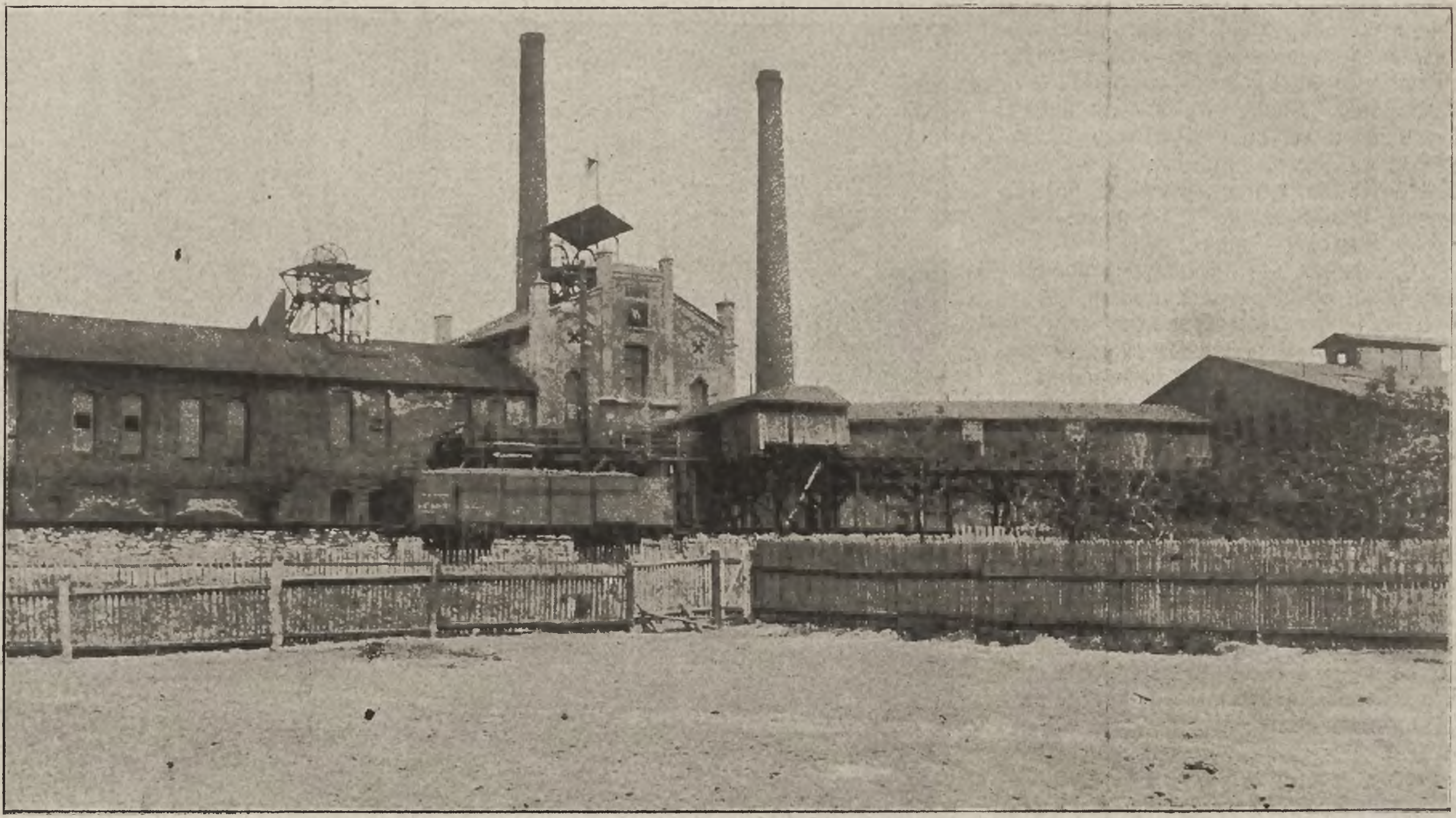
**Wielki strajk górników:** Kierownicy strajku wraz z delegatami i mężami zaufania; 1. St. Sikora, prezes pol. związku górniczo-hutniczego; 2. Z. Koźlik, sekretarz zjednoczenia pol. zw. zawodowych; 3. K. Żelazny, mąż zaufania górników; 4. St. Szymborowski, sekretarz biura strajkowego; 5. St. Nowicki, przew. rady nadzorczej zjednoczenia p. z. z.



**Wielki strajk górników:** Ogólna grupa strajkujących.

kich członków 40 procent podwyżkę od obecnej wkładki, kiedy zaś dnia 15 sierpnia dyrekcya istotnie ściągnęła nadwyżkę, powstała burza, która w rezultacie doprowadziła do strajku, tembardziej że i inne żądania robotników, a to 8 godzinny dzień pracy, deputat węgla itp., odrzucono.

Strajk w Sierszy i w Krzu ma dotychczas przebieg zupełnie spokojny. Kieruje nim obecnie komitet z łona polskiego związku zawodowego górników i hutników, choć wywołany został przez partyę socyalno-demokratyczną. Socyaliści mianowicie po pierwszym tygodniu cofnęli się i poczęli robotników nawoływać, by do pracy wrócili. Robotnicy atoli postanowili wytrwać w bezrobociu i choć musi się to odbić szkodliwie na ich stosunkach materyalnych, walczyć do ostatka, byle tylko zdobyć korzystniejsze warunki pracy.



**Wielki strajk górników**: Szyb „Artura“ w kopalni węgla w Sierszy.



**Śmierć prowincyała Bonifratrów w Krakowie**: Wyniesienie zwłok ś. p. Ojca Stura z kościoła Bonifratrów.

Nie zanosi się więc wcale na rychły koniec strajku. Gwarectwo liczy na to, że przyciśnięci głodem robotnicy, lada dzień wrócą do pracy, atoli komitet strajkowy ma środki dostateczne i może wytrzymać jeszcze długo, a każdy dzień bezrobocia przynosi wielkie straty przedsiębiorstwom. Jeżeli więc gwarectwo nie ustąpi i nie uczyni zadość skromnym zresztą wymaganiom robotników, strajk może potrwać jeszcze kilka tygodni.

Pogłoski, jakie początkowo rozgłaszano, o zamiarze robotników wywołania awantur, okazały się fałszywemi. Robotnicy zachowują się zupełnie poważnie i spokojnie, nie prowokują nikogo, zbierają się tylko od czasu do czasu na swe zgromadzenia, celem odbycia narad i wzajemnego zachęcenia się do wytrwania w walce.

Zdjęcia nasze przedstawiają szyb „Artura“ w kopalni węgla w Sierszy, dalej ogólną grupę strajkujących i grupę członków komitetu strajkującego.

## Śmierć prowincyała Bonifratrów w Krakowie.

Ubiegłej soboty, tj. dnia 28 sierpnia, odbył się pogrzeb śp. O. Edwarda Stura, prowincyała na całą Austryę zakonu OO. Bonifratrów, który, rozchorowawszy się w Krakowie, wyraził przed śmiercią swą wolę, że chce zostać pochowanym na cmentarzu naszego miasta.

Woli zmarłego stało się rzeczywiście zadość, chociaż konwent wiedeński OO. Bonifratrów, gdzie przebywał on bez przerwy pół wieku i gdzie, jako prowincyał, miał swą stałą rezydencyę, zgodził się na to z wielkim bólem serca.

Wyprowadzenie zwłok nastąpiło z kościoła OO. Bonifratrów przy ulicy Krakowskiej na Kazimierzu. Wspaniały kondukt pogrzebowy aż na sam cmentarz prowadził osobiście ks. biskup Anatol Nowak. Za trumną postępowali: przeorowie OO. Bonifratrów z rozmaitych konwentów z przeorem krakowskim, O. Laetusem Bernatkiem na czele, dalej bratanek zmarłego dr. fil. Stur, prezydent miasta dr. Leo wraz z wiceprezydentem Sarem, dyrektor policyi dr. Flattau z radcą Swolkienem, poseł dr. Bujak, oraz liczny orszak pobożnych. Oprócz świeckiego duchowieństwa stawili się na pogrzeb także przedstawiciele wszystkich zakonów krakowskich. Wśród zakonników zwracał na siebie uwagę O. Pelerin, przeor wygnanych z Francyi Trynitarzy, którzy osiedli obecnie pod Wiedniem, a którym śp. O. Edward przez dłuższy czas udzielał przytułku w konwencie wiedeńskim OO. Bonifratrów.

Trumnę ze zwłokami śp. O. prowincyała złożono tymczasowo w grobowcu wynajętym aż do chwili, gdy zostaną przeniesione do własnego wspólnego grobowca, jaki zamierzają wznieść na cmentarzu krakowskim OO. Bonifratrzy.



**Śmierć prowincyała Bonifratrów w Krakowie**: Orszak pogrzebowy z ks. biskupem A. Nowakiem (X) na czele.

PAWEŁ MARGUERITTE.

# CZARNA KSIĘŻNICZKA

36 (Dokończenie).

Bop przestraszony rzucił się do drzewa, wspinając się na niego; Cockley, który siadł okrakiem na murze, rzucił Wierze linkę.

— Niech pani jej się chwyta! Prędzej, prędzej! Dobrze!

Gdy buldogi doskoczyły do Wiery, Cockley wciągał ją już do góry, jeden tylko jej trzewik został w zębach psa.

— Uf! westchnął Cockley, sadzając Wierę na murze. Poczekajcie moje jagniątką. Gryźcie teraz, kiedy chcecie!...

— Dziękuję, szepnęła Wiera, pan mnie ocalił.

— Robi się, co można, odparł skromnie Cockley.

Psy rzuciły się do Bopa, skacząc wściekle koło drzewa. Gałąź, na której siadł, zatrzeszczała nagle.

— Dobrodzieju, zawołał Cockley, niech pan nie ufa tej gałęzi. Znam ją doskonale. Zsunie się pan z niej na dół, a to nie będzie rozkoszne, niech mi pan wierzy! Do widzenia, gentleman, *good nighd!*

I Cockley spuścił Wierę a potem sam znikł z tamtej strony muru.

Pani Morailles zemdlała ze wzruszenia; Wiera nacierała jej skronie wodą i do ust wpuściła kilka kropel jakiegoś płynu. Otworzyła oczy.

Simoni rzekł wtedy po cichu do Wiery, która zdawało się, iż sama zaraz upadnie:

— Czy zawołać towarzyszy? Czy dama ta będzie mogła iść pieszo?

— Mam samochód, odezwał się Cockley; ale co pani jest? I schwycił ją pod ramiona.

— Nic, odparła Wiera, jeden z psów urwał mi kawałek ciała. Podniosła okrwawioną nogę z ogromną raną na pięcie. Pełna stoicyzmu nawet nie jękła.

— Pani nie może iść, zadecydował Cockley; pan i ja zaniesiemy panią do samochodu. Pani Seymour drży tam z obawy.

W kilka chwil potem markiza była już w objęciach swej starej przyjaciółki; płakała i śmiała się z wyczerpania nerwowego. Wiera z nogą owiniętą chustkami, milczała, zagryzając wargi z bólu. Samochód kierowany przez Doddy mknął naprzód w kierunku wskazanym przez Wierę. Simoni i Cockley pozostali razem; dziwny kontrast; gentleman w ubraniu wieczorowem i robotnik w poplamionej bluzie.

— Panie — rzekł Cockley uprzejmie — mam zaszczyt pana pożegnać.

— Pozwoli pan uścisnąć swą rękę, odparł Simoni; pan mnie nie zna, ja pana i może nigdy już nie spotkamy się.

Zamienili silny uścisk dłoni i rozeszli się, każdy w swoją stronę. W kwadrans potem nie zostało śladu z szopy mularskiej. Towarzysze Simoniego przybiegli na głos gwizdka i wszystko sprzątnęli. Bop przez ten czas drżał na gałęzi, pilnowany przez buldogi, które gryzły pień drzewa, by dobrać się do siedzącego na niem człowieka. Stróż, który ukazał się tutaj po pewnym czasie, zdziwiony obecnością człowieka na drzewie i biorąc go „za jednego z bandy“, nie chciał słuchać ani jego tłómaczeń, ani tytułów.

— Wkrótce będzie dniało, odpowiedział; pogadamy po widoku.

I Bop pod strażą dzikich psów oczekiwał nadejścia dnia.

* * *

W dwa tygodnie potem między Melun i Nemowis dwa samochody mknęły całym pędem; drugi chciał dogonić pierwszy i oba to oddalały się od siebie, to zbliżały.

W pierwszym dwie kobiety, blade z niepokoju, z dzieckiem między sobą, mierzyły co chwila odległość od ścigającego samochodu. Była to pani Morailles, pani Seymour i Jacek. Doddy kierowała.

W drugim siedziało dwóch mężczyzn; jeden z nich pochylony naprzód, z wzrokiem utkwionym przed siebie, śledził uciekających. Był to pan Morailles, który sterował samochodem i ajent policyi.

Markiza od ucieczki z domu obłąkanych była poszukiwana przez policyę na żądanie doktora Cruxa.

— Mój Boże, szeptała, widząc z jak zawrotną szybkością przed oczami jej migały przydrożne drzewa, wolałabym umrzeć, niż wpaść znowu w ręce tego człowieka.

— Co za nieszczęście! mówiła pani Seymour. On wszędzie miał szpiegów. To moja wina, powinnam była usłuchać Wiery, kiedy chciała dowieść cię do Hawru. W Hawrze bowiem oczekiwała na nie Ludwika razem z Made i Janiną Forster.

— Jak można było przypuścić, że mój mąż śledził ciebie wszędzie i tak zręcznie, iż dopiero teraz spostrzegłyśmy go.

— To moja wina, powtórzyła pani Seymour. Winnam była słuchać Wiery.

Przez dwa tygodnie pani Morailles przebywała w pawilonie, który poznała przed laty, w niezapomnianych chwilach męki, gdy wydała na świat Jacka. Przez dwa tygodnie obsługiwana przez panią Berty, która doglądała również Wiery z powodu jej rany na stopie, Aurora żyła skryta, w dali od świata. To więzienie było dla niej zbawieniem; chociaż dzienniki nie wspominały o jej ucieczce i nie pomogły przez to do jej odkrycia, tajni jednak ajenci z prywatnych biur wywiadowczych węszyli za nią wszędzie. U Wiery była bezpieczna. Nie pozwoliła ona napisać jej ani jednego listu, uczynić ani kroku na zewnątrz. Należało pozostawić czas, by gorliwość ajentów markiza wyczerpała się i by on sam nabrał przekonania, iż żona jego skryła się za granicę.

Ajenci jednak znali swój zawód.

Rano pani Seymour przeczytała w Figarze wiadomość z Cannes, iż przybył tam markiz Morailles. Nie wierzyła tej wieści i przy pomocy Cockleya sprawdziła w pałacu, iż markiz istotnie już tam wyjechał przed dwoma dniami. Chwila była odpowiednia: markiz nieobecny, można więc przewieść Aurorę do Hawru, by stąd następnego dnia ruszyć do Ameryki.

Tak rozważała pani Seymour, nie przypuszczając, iż wiadomość o wyjeździe markiza rozgłoszono umyślnie. Nie domyślając się taktyki swego przeciwnika, zatelefonowała pod umówionymi znakami do jednego z towarzyszy Wiery.

— Proszę mi przysłać dzisiaj książkę.

— O której godzinie?

— O pierwszej.

— Na ulicę Saint-Honoré 70?

— Tak, Saint-Honoré 70.

O pierwszej godzinie pani Seymour oczekiwała razem z Jackiem przed tym domem. Pięć minut po pierwszej z bramy wysunęła się lękliwie postać kobieca: była to Aurora. Doddy zaraz ruszyła.

Z początku samochód jechał wolniej przez ulice Paryża, potem zamiast odrazu pędzić do Hawru, skierowano się na południe, by przekonać się, czy nikt ich nie śledzi.

Niestety za niemi jechał drugi samochód i mimo całej ich szybkości, doganiał ich, przestrzeń między nimi zmniejszała się.

W Melun należało zwolnić biegu, z czego skorzystał markiz, pędząc całą siłą. Towarzysz jego zwracał mu uwagę.

— Ostrożniej panie markizie, zbyt szybko; to wbrew regulaminowi.

Pan Morailles wzruszył tylko ramionami. Gnała go nienawiść, żądza porwania Aurory znowu w swe ręce. Jak tylko jeden ze szpiegów dał mu znać, że pani Seymour ma zamiar jechać samochodem, gdyż czeka już na nią przed domem, markiz nie chcąc ani chwili tracić z powodu ubierania się szofera, sam skoczył z ajentem do samochodu i podążył pod wskazany adres.

Zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od mieszkania Amerykanki i pojechał za nią. Dzikiej radości doznał, gdy ujrzał wychodzącą z domu przy ulicy Saint-Honoré swą żonę. Teraz już mu się nie wymknie! Przychwyci ją i da jej odczuć całą potęgę swej zemsty!

Samochody mknęły naprzód, nie dotykając prawie ziemi kołami. Gnał je, pędził szalony strach i nienawiść. Pierwszy szukał ocalenia, drugi nasycenia swej mściwości.

Ajent policyi, który doznał skrupułu wobec tej dzikiej pogoni dwóch bezbronnych kobiet i dziecka, rzekł po raz drugi z naciskiem:

— Proszę zwolnić. Nie mogę zgodzić się na to przestępstwo prawa i narazić się na wypadek i protokół.

Pan Morailles zwrócił się do niego:

— Jeżeli pan obawia się...

— Tyle się obawiam, co i każdy inny — odrzekł ajent, marszcząc brwi i ruszając wąsami, przez co wyrażał swe największe niezadowolenie...

— A więc proszę nie denerwować mnie w takiej chwili...

I zbliżył się o trzydzieści metrów, potem znowu o dziesięć. Nagle krzyk radości wyrwał mu się z piersi, dotykał już samochodu pani Seymour. Chciał go wyminąć i zajechać mu drogę.

Naraz rozległ się straszny łoskot. Samochód markiza zajechał bocznemi kołami na pochyłość przydrożnego rowu, skręcił się bokiem i całą siłą pędu strzaskał się o drzewo, łamiąc je.

Tragiczna chwila! Z olbrzymiego potworu stalowego pozostały tylko rozerwane kawałki. Na ziemi leżały dwa ciała. Jeden z jadących podniósł się po chwili, chwiejąc się cały.

— Panie Boże! zawołała zdumiona Doddy, toż to nieboszczyk Trachet, były mój mąż!

I niepoprawna dodała:

— Aha, dobrze, nie przyniosło mu to szczęścia.

Pan Morailles nie ruszał się. Ajent Trachet pochylił się nad nim, wziął jego głowę w ręce, poczem ją zaraz położył. Gdy pani Seymour zbliżyła się, wzruszona tym wypadkiem, zatrzymał ją ruchem litości dla tego, kto już nic złego nie może nikomu uczynić.

— Niech pani nie patrzy.

Pani Seymour widziała jednak. Głowa markiza strzaskała się o drzewo, z czoła pozostały tylko szczątki kości.

Aurora i Jacek wychodzili w tej chwili z samochodu. Pani Seymour powstrzymała ich i rzekła do przyjaciółki:

— Wszystko skończone! Takie przeznaczenie... Sprawiedliwości stało się zadość.

Aurora wzdrygnęła się cała i chwytając syna w objęcia, załkała.

## EPILOG.

W trzy miesiące potem z portu Havres wyruszył wielki transatlantycki okręt „Auvergne“. Obok starszej kobiety o energicznym wyrazie twarzy, stała na pokładzie młodsza kobieta w żałobie i tęsknym wzrokiem żegnała Francyę: była to Aurora Morailles. Powróciła do swych dóbr, praw i wolności, uwolniona od człowieka, który ją tego pozbawił.

Odzyskując majątek, znalazła i całe rzesze obrońców i sprzymierzeńców. W krótkim czasie największe powagi medyczne uznały ją za zupełnie zdrową. Curx i Saffroy, mimo wyraźnej niechęci, musieli poddać się temu orzeczeniu, złorzecząc chwili pojawienia się w zakładzie amerykańskiego lekarza, Plumpisha.

Długo spoglądała na ojczystą ziemię, którą miała ujrzeć później, gdy zdrowie swe doprowadzi do pożądanego stanu, gdy te moralne przejścia i nerwowe wstrząśnienia, które przecierpiała, pozostaną tylko odległem wspomnieniem. Ujrzy wtedy znowu swego syna Andrzeja, który kończył nauki nie u Jezuitów, lecz w Paryżu, pod opieką księcia d'Eylau. Ten stary przyjaciel podjął się sam wzbudzić w Andrzeju pragnienie nowego, pełnego życia.

Pożegnanie ich było bolesne.

Pod widocznym wpływem ojca Remy i wychowania religijnego, Andrzej oznajmił chęć wstąpienia do zakonu. Odpowiedziała mu, że podobny zamiar wymaga głębszego zastanowienia i namysłu, na co trzeba poświęcić kilka lat. Wiadomość ta bardzo ją zaniepokoiła, książę d'Eylau zdołał jednak dodać jej otuchy, iż kilka lat świeckiego życia, zatrze w młodym człowieku podobne postanowienia.

Obracając się na pokładzie, pani Morailles ujrzała Joannę, idącą po schodach pierwszego piętra. Blada była, wymęczona, w oczach jej jednak świecił blask nadziei i szczęścia.

— Jakże, Joanno, jak się ma nasz drogi chory?

— Maurycy spoczywa w kabinie, jest jeszcze wyczerpany, lecz doktór powiedział mi, że już siły zwolna mu powracają.

Maurycy? Tak, na czas przybyła, by wyrwać go z objęć śmierci. Rano odnaleziono go omdlałego na stosie porostów wodnych; dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności odniósł tylko dość ciężkie potłuczenia. Spadł bowiem na ciało mistress Harden, która sobą osłabiła siłę upadku, ginąc sama. Przez wiele dni i nocy Maurycy majaczył w gorączce; Joanna sama czuwała zazdrośnie nad swym nieszczęśliwym mężem; ona jedna tylko mogła domyśleć się tego strasznego dramatu, w którym ta złowroga kobieta, to wcielenie zła i występku, Czarna księżniczka znalazła dla siebie koniec. Dzięki staraniom Joanny przemilczano o tym nieszczęśliwym wypadku. Uzyskała dla niego dłuższy urlop i teraz uwozi go do innego świata, by tam nabrał wiary w siebie i odwagi do życia.

Pani Seymour pożyczyła funduszów na zapłacenie długów i na usunięcie wszelkich trudności materyalnych. Aurora objęła ją czule.

— Gdzie są dzieci? zapytała.

W chwili tej Jacek i Made ukazali swe rozkoszne twarzyczki, ożywione uśmiechem i radością z oglądania nowych dla siebie rzeczy. Made podbiegła do pani Seymour i objęła ją swemi drobnemi rękami, Jacek zaś stanął pomiędzy swą prawdziwą i przybraną matką i biorąc je za ręce, całował.

— Dzieci nasze... szeptała Joanna we łzach.

Pani Morailles, która patrząc na młode pokolenie, sama ożywiła się i jakby odmłodniała, powtórzyła:

— Nasze dzieci... mają przyszłość przed sobą... Oby tylko były szczęśliwsze od nas!

KONIEC.

PAUL d'IVOI.

# SZPIEG X. 323

1

### WSTĘP.

Ja, Maks Trelam, korespondent *Timesa*, potężnego dziennika angielskiego, uważam za konieczne oznajmić, że pisząc to opowiadanie, pragnę wystawić pomnik szlachetności człowieka, którego zawód nie należy obecnie do chwalebnych.

Człowiek ten jest szpiegiem.

Tak, jest to szpieg... lecz szpieg dziwny, nieprzenikniony, jedyny w swoim rodzaju. Przedewszystkiem nigdy nie był schwytany, podczas gdy jego zawodowi koledzy wcześniej czy później ulegli temu losowi. Odznacza się on przytem niezwykłą odwagą i przenikliwością. Jego zaś zdolność rozumowania jest tak wielką, iż z pomocą daru obserwacyi, jakiej w tym stopniu co u niego nie spotkałem u nikogo, może określić z matematyczną ścisłością, co jakiś człowiek w danych warunkach uczyni. Najwięcej jednak godną podziwu jest jego prawość. Przeciwników swoich ostrzega zawsze, że już jest na ich śladach.

Każdy przyzna, że człowiek obdarzony tak wyjątkowemi zaletami, może pozwolić sobie na tę niebezpieczną szczerość, zdziwią się jednak wszyscy, gdy dodam, że mój szpieg jest najzupełniej bezinteresowny i że rządy, które uciekają się do jego pomocy, muszą pozostawać ciągle jego dłużnikami. Pod względem moralnym przedstawia nieprześcigniony prawie wzór. Człowiek o iście rycerskiej szlachetności, używam tego słowa umyślnie, gdyż codziennie naraża swe życie, podejmuje się tylko tych spraw, które mu się podobają. A stwierdziłem, że w tych tylko znajduje upodobanie, które mają na celu niedopuszczenie do wojen, obronę słabych przed ciemiężycielami. Czuły i litościwy aż do poświęcenia się dla ofiar, staje się okrutnym i wyrafinowane srogim dla wszelkiego rodzaju despotów, z którymi walczy. Zasługując na największy podziw i uznanie, nie tylko nie stara się o nie, lecz je i lekceważy. Idzie tam zawsze, dokąd go sumienie wzywa.

Ja,, Maks Trelam czuję się szczęśliwy, że mogę wyrazić swe uczucie i poważanie dla jego nieskalanej czystości charakteru, która mu pozwala przyjąć bez szemrania pogardliwą nazwę: „Szpiega“.

Pragnę tutaj przedstawić usługi, jakie mój dziwny przyjaciel oddał całej ludzkości. Chciałbym, by wszyscy go zrozumieli, tak jak ja go rozumiem i dobrocią, jaką noszę w swych sercach, otoczyli tego wielkiego obywatela całego świata.

Teraz opiszę, kiedy go spotkałem po raz pierwszy i wśród jakich okoliczności byłem przy jego boku świadkiem walki, której stawką było życie lub śmierć setek tysięcy młodych i dzielnych ludzi.

### I.

### ZAJŚCIE W CASABLANCA.

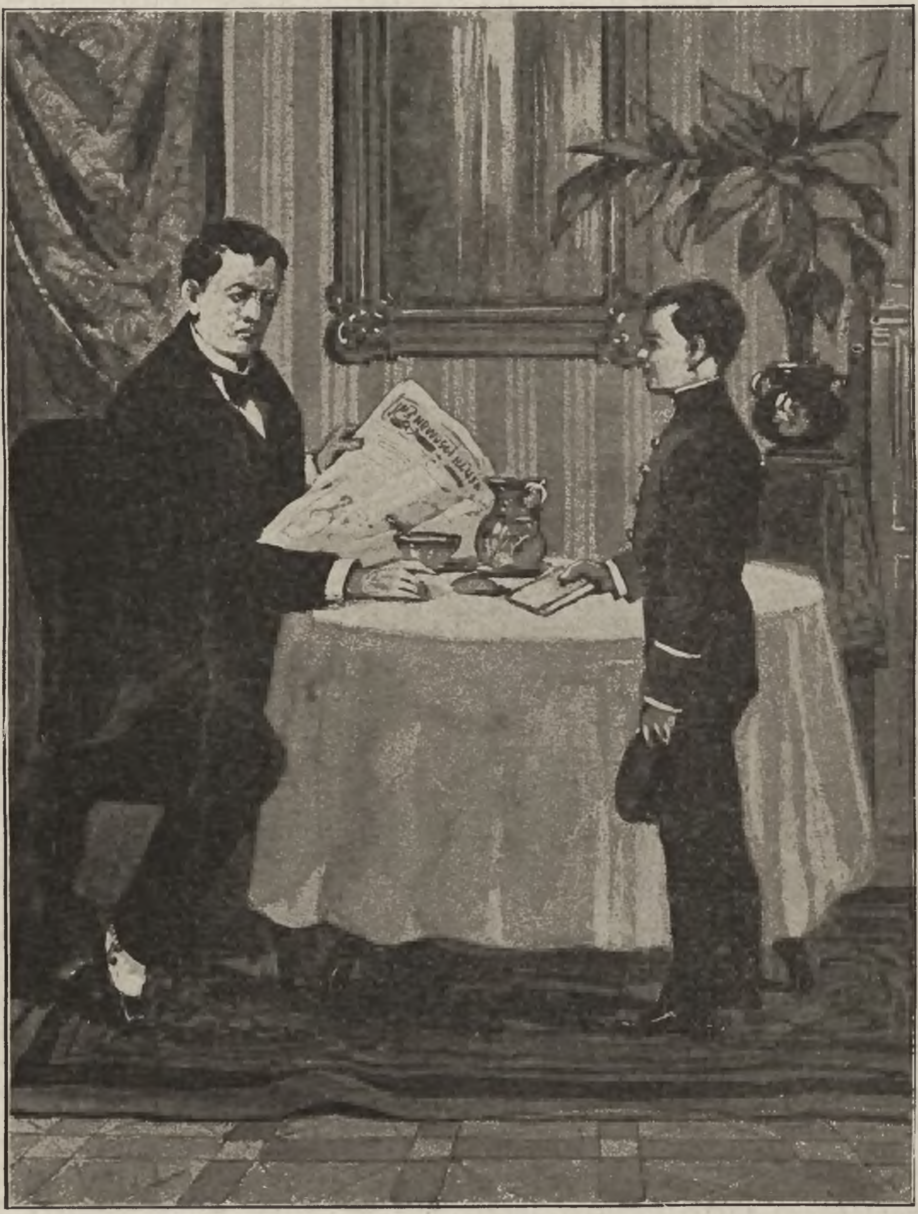
Bawiłem w Paryżu, gdy zaszedł ten banalny wypadek, który jednak z powodu podstępnych knowań Niemiec omal nie wywołał europejskiej wojny. Przypomnijmy fakty.

Pewien niemiecki urzędnik dyplomatyczny z Casablanca dał schronienie w konsulacie pięciu dezerterom z legii cudzoziemskiej, wchodzącej w skład armii francuskiej, która na skutek mandatu udzielonego Francyi przez konferencyę w Algeciras, strzegła porządku w tym kraju. Gdy ten bezwątpienia winny urzędnik prowadził uciekinierów do portu, by ich wsadzić potajemnie na okręt, spotkał się z francuskim patrolem. Legioniści zostali poznani i zaaresztowani. Wywiązała się bójka... Niemiec twierdził, że został poturbowany przez żołnierzy, Francuzi zaś utrzymywali, że ajent konsularny rzucił się na nich.

Z tego głupstwa zrodziła się niemiecka nota dyplomatyczna, żądająca od Francyi satysfakcyi za naruszenie prerogatyw konsulatu. Wypływałoby z tego, że konsulowie mają prawo pomagać do dezercyi żołnierzom z obcych armii. Lakoniczny bilet redaktora *Timesa*, najbardziej wpływowego dziennika na całym świecie, polecał mi śledzić negocyacye w Paryżu. Wiedziałem dobrze, chociaż mi o tem nie doniesiono, że na skutek podobnego zlecenia jeden z moich kolegów pozostaje w Berlinie. Nie mając więc nic innego do roboty, jak tylko zajmowanie się stolicą francuską, mogłem uważać swoją pracę za miły odpoczynek. Czytanie dzienników i ukazywanie się od czasu do czasu w kołach polityków i finansistów, dawało mi możność najdokładniejszego informowania czytelników *Timesa* o stanie umysłów u naszego współsojusznika. Wkrótce jednak miałem przekonać się, jak często szyderczy los drwi nielitościwie z naszych chęci.

Pewnego poranku, gdym siedział przy śniadaniu w dining-room hotelu Bedford, w którym zwykle zatrzymuję się podczas pobytu swego w Paryżu, zjawił się przedemną boy i podał mi depeszę, przybyłą z Londynu.

Depesza od dyrektora *Timesa*. I jaka depesza! Prawie cała broszura. Nie zdziwiłem się jednak,



Zjawił się przedemną boy i podał mi depeszę, nadesłaną z Londynu.

gdyż w naszej redakcyi oszczędność nie jest w zwyczaju.

— Niech pan wydaje bez liczenia, zaleca się nowowstępującemu... jedyną troską pańską winno być zdobycie ważnych wiadomości. Cena jest tu niczem.

Nowiny musiały być wielkiej wagi, gdyż depesza była zredagowana cyframi, których sekret powierza się honorowi reportera, wysłanego w jakiejś misyi przez dziennik.

Natychmiast porzuciłem śniadanie i w dwie minuty potem pracowałem w swym pokoju nad odcyfrowaniem tej zdumiewającej depeszy:

„Wczoraj wieczorem koło piątej godziny lord Downingby, nasz premier, opuścił swój wspaniały gabinet, w którym razem z monarchą przygotowuje posunięcia, mające przynieść Anglii zwycięstwo na szachownicy świata. Premier udał się do sir Aldershota, niewychodzącego ze swego mieszkania z powodu przeziębienia, by omówić z nim pewne zmiany w programie budowy okrętów. O trzy na szóstą, czyli po czterdziestopięciominutowej przerwie powrócił już do swego gabinetu w Foreign. Ponieważ był zaproszony na obiad do pałacu, spieszył się bardzo i do biura wstąpił jedynie dlatego, by schować w pewnem miejscu dokumenty, przyniesione od sir Aldershota. Tem pewnem miejscem była kasa ogniotrwała, wmurowana poza biurkiem ministra w ścianę i pomalowana na kolor, w jakim są w pokoju tym boazerye. Straż w ministeryum tworzyli wybrani żołnierze z horseguards i highlanders, gabinet więc ten uchodził na najbezpieczniejsze schronienie dla sekretnych rządowych papierów.

„Gdy premier podszedł do kasy ogniotrwałej, stwierdził ze zdumieniem, że w czasie jego krótkiej nieobecności otworzono ją i skradziono dokument *niezwykłej wagi*, który lord Downingby miał przed dwiema godzinami w ręku. Liczba, na którą otwierała się kasa, była 323.“

Z tej dokładności szczegółów domyśliłem się odrazu, że sprawą tą zajmował się sam redaktor; wszyscy uznawaliśmy jego wyższość w tym względzie nad nami i nie obrażaliśmy się, gdy on w ważniejszych wypadkach przystępował sam do działania.

„Lord Downingby jest człowiekiem stanowczym. Nie tracąc ani chwili, zatelefonował natychmiast do policyi, do biura służby *contre*-szpiegowskiej. Przypuszcza więc, że złodziejem był szpieg. Rozesłano równocześnie depesze do wszystkich portów angielskich, by strzeżono czujnie pasażerów udających się do Niemiec, można bowiem przypuszczać, że szpieg działał na korzyść tego państwa. Zalecono zarazem ajentom, by posunęli swą baczność do ostateczności i obiecano im niezwykłą nagrodę, cztery tysiące funtów szterlingów; ten szczegół również wykazuje doniosłość skradzionego dokumentu.

„Dowiedziałem się ponadto, że zapomocą nowej linii telegrafu bez drutu przeprowadzono cyfrową korespondencyę dyplomatyczną z rządem francuskim.

„Śledztwo w ministeryum nic nie wykryło. Highlander, stojący na straży, przypomniał sobie, że jeden z robotników, zajętych tynkowaniem fasady pałacu, wszedł do środka przez półotwarte okno, bawił tam jednak krótką chwilkę, poczem zajął znowu swe miejsce na wiszącej drabinie, którą robotnicy manewrują za pomocą całego systemu sznurów i bloków. Z powodu wczesnej w tej porze nocy, robotę tę przerwano jeszcze przed powrotem premiera. O wszystkiem jednak zachowano najściślejsze milczenie. Wie pan, jak nasi mężowie stanu stają się głusi, gdy chcą zachować coś w tajemnicy. Nic z nich nie można dobyć. Francuzi są bardziej rozmowni. Niech pan poszuka jakiego gaduły w otoczeniu prezydenta ministrów. On zapewne nic nie powie. „Wielki Jerzy“ *). jak my go tu nazywamy, z równą łatwością wywnętrza się jak i milczy. Nie wszyscy jednak jego towarzysze są tej samej wartości i z takim samym zasobem sprytu. Pokładam ufność w pańskiej zręczności. Proszę szukać i znaleźć. Czytelnicy *Timesa* muszą pierwsi poznać dokładną treść skradzionego dokumentu. Żadnych oszczędności! Wiem dobrze, że jest to warte sumy, jaką będzie potrzeba wydać. Oddany panu....“

Następował podpis.

Z pewnością nie byłbym dziennikarzem, gdybym nie lubiał logogryfów. Rebus jednak, którego rozwiązania trzeba szukać aż przy „Wielkim Jerzym“, nie stanowi już przyjemności. Wszyscy go znają, tego szatańskiego człowieka, z dziwną energiczną twarzą, z żywemi, ruchliwemi oczami, które innych przenikają, a nie dają się same zgłębić, o ruchach bystrych a bardzo często i szorstkich. Czyni pozory potulnego, podczas gdy wistocie jest nadzwyczaj przebiegłym. Udaje często, że wywnętrza się z najgłębszych tajemnic, prawdziwej jednak myśli nigdy nie wyjawia. Jest to jeden z najwytrawniejszych mężów stanu, ale zarazem i znajtrudniejszych dla interwiewu, któryby zadowolił redaktora *Timesa*.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Jerzy Clemenceau.

# Wiara uzdrawia.

Od półwieku już świat katolicki zwrócone ma oczy na małą mieścinę we Francyi południowej, a mianowicie na Lourdes, dokąd, jako do miejsca cudami słynącego, napływają corocznie olbrzymie rzesze pątników. Dla ludzi niewierzących, nadzwyczajne uleczenia za pomocą wody ze źródła, które wytryska w grocie, gdzie 1858 roku uboga pasterka, Bernadetta Soubirous, miała objawienie, są prostem szalbierstwem, dla wierzących zaś, prawdziwymi cudami. Jedni zwalczają drugich z zaciętością, jaka zwykle ogarnia ludzi, skoro dyskusya dotyczy spraw, mających związek z religią a na tle tej kontrowersyi powstała cała specyalna literatura. Rzecz prosta, że nikt nikogo dotąd nie przekonał, jedni drwią dalej z cudów w Lourdes, drudzy w nie wierzą niezachwianie.

Jakiekolwiekbądź zdanie może ktoś mieć o cudownych kuracyach, których widownią jest Lourdes od lat pięćdziesięciu, temu jednemu nie zaprzeczy, że we wszystkich religiach od czasów zamierzchłej przeszłości cudowność, przywiązana do pewnych świątyń, świętych gajów, posągów, obrazów i t. d., odgrywała bardzo ważną rolę. Tosamo spostrzegamy w chrystyanizmie, który podobne miejsca uświęcone posiadał i posiada, dość wspomnieć np. naszą Częstochowę. Z racyi swego położenia we Francyi, Lourdes wobec całego świata katolickiego jest tem, czem Jasnogóra wobec Polski i dziedzin sąsiednich.

Faktem jest, że do Lourdes spieszy co roku przeciętnie po 150.000 pielgrzymów i że rozesłanych stamtąd zostaje przeszło 100.000 flaszeczek z wodą cudowną. Na miejscu zaś prowadzoną jest ścisła kontrola, pod dozorem lekarskim, cudownych uleczeń.



**Wiara uzdrawia:** Odjazd pielgrzymów, udających się do Lourdes, z dworca orleańskiego w Paryżu.

Ryciny nasze przedstawiają odjazd pielgrzymów i chorych do Lourdes z dworca orleańskiego w Paryżu na uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny, przypadającą 15 sierpnia. Jak widać na jednej z nich, udaje się tam razem z innymi chory, którego na noszach przyniesiono do pociągu. Przedsiębierze on tę tak trudną dla siebie podróż z gorącą wiarą, która często uzdrawia i czyni cuda w przekonaniu wierzących.

## Włościańskie gniazdo sokole.

Wspaniały rozwój i wzrost idei sokolej objawił się przedewszystkiem przez powstanie w kilku miejscowościach Galicyi gniazd włościańskich i robotniczych. Skoro tam nawet, do najniższych sfer społeczeństwa, między robotników i włościan, idea ta zdołała przeniknąć, to fakt ten najlepiej dowodzi, jak ona jest żywotna i jak potężna. Stwierdzić zaś trzeba, że właśnie te gniazda sokole, rekrutujące się z pośród włościan i robotników, odpowiadają może najbardziej celom, które twórcom Sokoła przyświecały.

Do gniazd takich należy i gniazdo w Tarnawie, którego członkami są prawie wyłącznie włościanie i robotnicy naftowi. Część ich posiada mundury normalne, część racławickie płócianki.



**Włościańskie gniazdo sokole:** Grupa członków „Sokoła“ w Tarnawie.



**Wiara uzdrawia:** Zakonnice, przygotowujące poduszki dla transportu ciężko chorych.

Poza normalnemi czynnościami, które wchodzą w program prac i zadań każdego Sokoła, utrzymuje to gniazdo orkiestrę własną, złożoną z 20 członków, utrzymuje dalej kurs analfabetów, w którym naukę pobiera rocznie około 100 uczniów, pod kierunkiem wiceprezesa gniazda, ks. kapelana A. Ziemby, utrzymuje dalej bezpłatną herbaciarnię, czytelnię i bibliotekę, zawierającą około 1000 książek.

Gniazdo sokole w Tarnawie jest ogniskiem życia narodowego i towarzyskiego całej okolicy, święceniem rocznic narodowych budzi ducha patryotycznego wśród ludności, słowem spełnia jak najdzielniej obowiązki swoje i zasługuje ze wszech miar na ogólne uznanie.

Grupę członków Sokoła w Tarnawie przedstawia nasza rycina.

## Echa wycieczki czeskiej.

Wspominaliśmy już, że podróż Czechów, którzy przed kilkunastu dniami wybrali się gremialnie na wystawę w Częstochowie, była urozmaicona całym szeregiem owacyi i uroczystych przyjęć, zarówno w Galicyi, jak następnie w Królestwie polskiem.

Szczególnie pięknie i wspaniale wypadło powitanie pobratymców z nad Wełtawy w Skierniewicach, gdzie w tym celu zawiązał się osobny komitet pod przewodnictwem naczelnika dystansu p. Rogozińskiego. Komitet wywiązał się doskonale z poruczonego sobie zadania.

Dworzec udekorowano wspaniale kwiatami, zielenią, flagami. Na tle tem imponujący widok przedstawiały tłumy ludności wiejskiej, w barwnych strojach ludowych. Zjawiła się także w komplecie miejscowa inteligencya.

Kiedy pociąg, wiozący wycieczkę czeską, stanął na dworcu w Skierniewicach, rozległy się okrzyki powitalne i oklaski, a imieniem zebranych wygłosił serdeczne przemówienie p. J. Ostrowski. Nastąpiła skromna przekąska, zastawiona przez komitet w poczekalni I klasy, podczas czego przegrywała orkiestra, poczem sympatyczni goście zajęli z powrotem miejsca w wagonach i przy dźwiękach pieśni czeskich ruszyli w dalszą drogę.

Zdjęcie nasze przedstawia grono członków komitetu przyjęcia Czechów w Skierniewicach.

## Monte Carlo na dalekim wschodzie.

Chińczycy, naród w ogólności bardzo pracowity i oszczędny, mają jednak dwie namiętności, które wyrządzają im nieobliczalne szkody, a mianowicie — do zatruwania się paleniem opium i do gier hazardowych wszelkiego rodzaju. Usiłowania przecież rządu chińskiego, który ze względu na osobę cesarza, stojącego na jego czele, znajduje, bądź jak bądź, posłuch wśród prawie 400 milionów obywateli Niebieskiego państwa, aby ich odzwyczaić od tych zgu-



**Wiara uzdrawia:** Ciężko chory robotnik, udający się do Lourdes.



**Echa wycieczki czeskiej:** Komitet przyjęcia Czechów w Skierniewicach, z prezydyum w pośrodku.

bnych nałogów, spełzły dotąd na niczem. Chińczycy oddają się bowiem hazardowi i paleniu opium potajemnie, nie bacząc na to, że w razie odkrycia przez policyę podlegają barbarzyńskim karom.

Rycina nasza przedstawia chińską jaskinię gry, założoną w mieście Macao, będącem kolonią portugalską na południowem wybrzeżu Chin, w pobliżu angielskiej kolonii Hongkongu. Urządzenie jej jest bardzo prymitywne. U góry małej izdebki, czyniącej wrażenie studni, umieszczona jest galerya, na której stoją gracze. Stawki swe spuszczają oni w koszykach do rąk chińskich krupierów. Gra sama, zwana *fan-tan*, polega na tem, że można stawiać na numery od 1 do 4, wypisane na tablicy. Na prawo od niej widzimy bankiera, który wziąwszy do ręki garść *kaszów*, drobnej miedzianej monety chińskiej, wysypuje ją na stół i liczy jej sztuki od jednego do czterech. Wygrywa ta liczba, która mu na ostatku wypadnie. Jeżeli będzie nią jeden lub dwa, to wygrywający otrzymują potrójną stawkę, jeżeli trzy lub cztery — to podwójną.

Oprócz Chińczyków, grywających namiętnie w *fan-tan*, zjawiają się często Europejczycy z pobliskiego Hongkongu w Macao, aby użyć emocyi hazardu przy tej narodowej grze chińskiej zamiast emocyi, przeżywanych w Monte Carlo, od którego dzieli ich olbrzymia odległość.



**Monte Carlo na dalekim wschodzie:** Chińska jaskinia gry w Macao.

## Ustąpienie urzędnika-obywatela.

Przed paru dniami przeniósł się w stan stałego spoczynku dyrektor oddziału rachunkowego dyrekcyi pocztowej we Lwowie, Józef Białynia Chołodecki, postać znana w całym Lwowie i ogólną ciesząca się sympatyą.

Dyrektor Chołodecki popularność swą zawdzięcza niezwykłej uczynności oraz niesłychanej wprost energii, która pozwalała mu po za spełnianiem obowiązków urzędowych, brać udział w każdej niemal pracy społecznej i narodowej, a nadto poświęcać sporo czasu pracy literackiej. Nie było w ostatnich kilkunastu latach ważniejszej sprawy, w którejby radca Chołodecki nie współdziałał, ofiarowując nietylko swą radę, ale i czynną pomoc. W całym szeregu towarzystw pracował stale, nadto zasiadał w rozmaitych komitetach, był też przez czas jakiś radnym miasta Lwowa.

W czasopismach lwowskich pojawiały się bardzo często jego artykuły, poświęcone bądź sprawom aktualnym, bądź odnoszące się do wspomnień z przeszłości. Ogłosił też drukiem kilka większych prac z zakresu historyi, pod pseudonimem Walentego Ćwika.

Rosła więc popularność dyrektora Chołodeckiego, rosła też sympatya, jaką go otaczano. W stosunkach osobistych ogromnie uprzejmy i uczynny, przedstawiał typ urzędnika-obywatela w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu. Opuszczając obecnie swe stanowisko urzędowe, znajdzie niewątpliwie jeszcze więcej czasu, aby go poświęcić życiu i działalności publicznej.



**Z Krety:** Maszty z flagami czterech mocarstw opiekuńczych i Turcyi w pobliżu Kanei.

## Jeszcze kwestya kreteńska.

Pod naciskiem mocarstw opiekuńczych nieszczęśliwi Kreteńczycy znów musieli pożegnać się na czas dłuższy z nadzieją, aby ich rodzinna wyspa stać się mogła integralną częścią królestwa greckiego. Flagę grecką przemocą usunięto w Kanei, gdzie powiewa, jak dawniej, flaga turecka w sąsiedztwie flag W. Brytanii, Francyi, Włoch i Rosyi. Ten akt przemocy, dokonany nad Kreteńczykami, mającymi wszelkie prawo do starania się o połączenie z niezależną Grecyą, budzi dla nich w całym cywilizowanym świecie sympatye, które im jednak nie mogą przynieść żadnej pozytywnej korzyści. Tak zwane wyższe względy natury dyplomatycznej, a poprostu pospolity egoizm, były powodem, że mocarstwa, pozostając w ciągłej trwodze o zachowanie spokoju na południowym

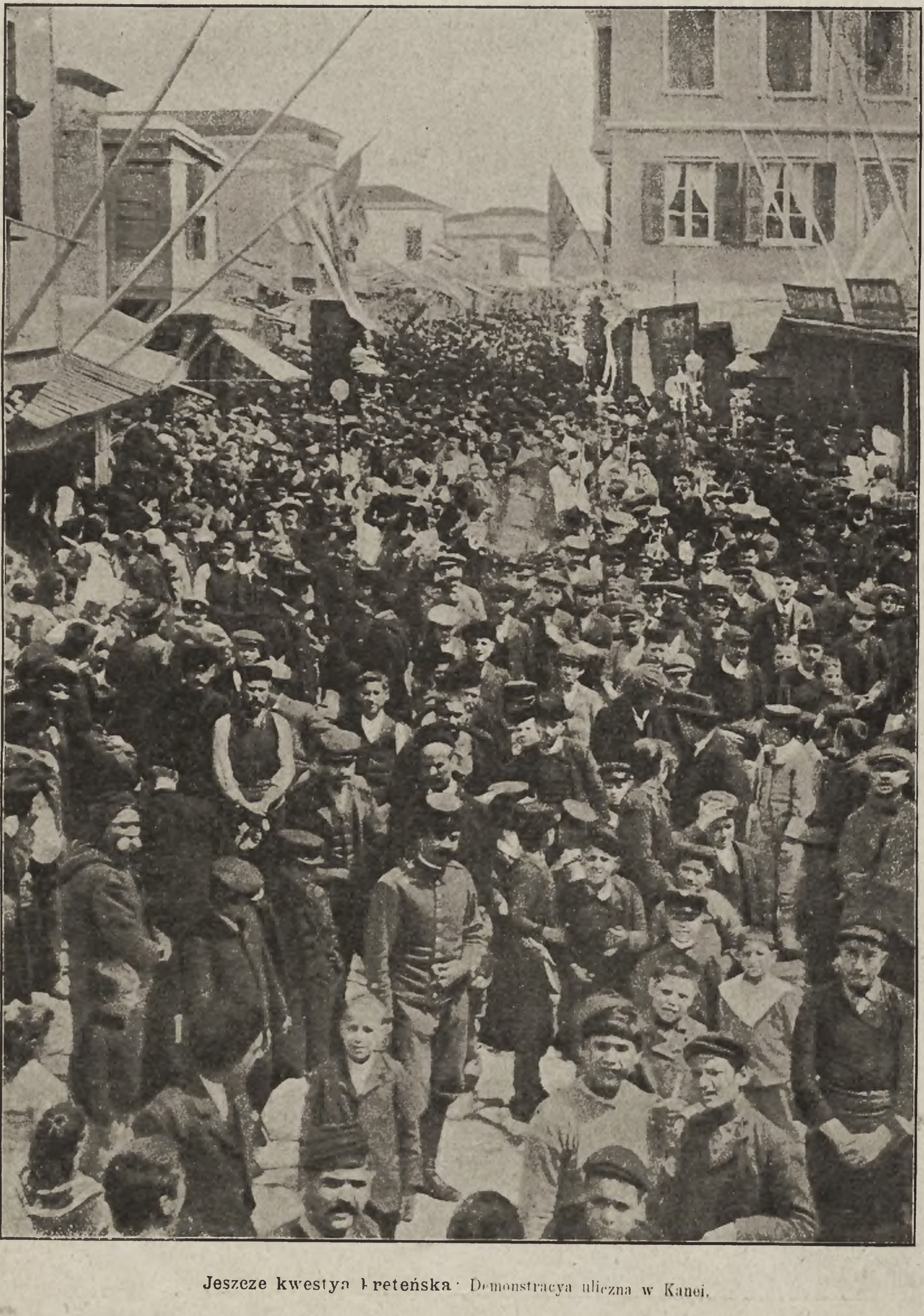
wschodzie Europy, nietylko nie poparły dzielnych Kreteńczyków, ale nawet zmusiły ich do uznania w zasadzie zwierzchniczej władzy sułtana nad ich krajem.

Takie postępowanie mści się zwykle, jak nas uczy historya, na tych, którzy się go chwytają. Kwestya bowiem kreteńska tylko połowicznie została załatwioną i w dalszym ciągu będzie zarzewiem, z którego wcześniej lub później może wybuchnąć groźny pożar.



Jeszcze kwestya kreteńska: Ogólny widok miasta Kanei.

W numerze dzisiejszym podajemy, między innymi, ogólny widok Kanei, stolicy Krety. Jest to miasto, liczące około 15 tysięcy mieszkańców, a położone w północno-zachodniej stronie wyspy nad brzegiem morza. Inna rycina przedstawia demonstracyę na ulicach tego miasta, jaka odbyła się niedawno temu w celu zadokumentowania opinii ludności, która za każdą cenę pragnie połączyć się z Grecyą. Ostatnie zaś zdjęcie podaje widok masztów, na których powiewają flagi mocarstw opiekuńczych i znienawidzona przez Kreteńczyków turecka flaga z półksiężycem.



Jeszcze kwestya kreteńska: Demonstracya uliczna w Kanei.

## Teatr włościański w Jedliczu.

W ciągu paru ostatnich lat, dzięki usilnej pracy towarzystw oświatowych, powstał w naszym kraju cały szereg włościańskich teatrów amatorskich, a jak silnym jest ruch na tem polu, dowodzi fakt, iż celem ujednostajnienia, a równocześnie ułatwienia pracy teatrów włościańskich, powołano do życia „Związek teatrów i chórów włościańskich“.

Jedną z najdzielniejszych trup amatorskich jest teatr włościański w Jedliczu, wiosce w okolicy Krosna. Powstał on przed rokiem dzięki ofiarności Związku katolicko-społecznego i zabiegom miejscowej inteligencyi, a prowadzony umiejętnie nietylko bawi słuchaczów, ale i kształci ich.



**Ustąpienie urzędnika-obywatela:** Dyr. Józef Białynia Chołodecki

Teatr ten posiada do swego użytku obszerną salę z wygodną sceną, piękne dekoracye, a przedewszystkiem grono dobrych aktorów, włościan z Borku, Jedlicza i Męcinki. Artystycznym kierownikiem jest dyrektor tamtejszej szkoły ludowej Wincenty Manierski, znany z działalności społecznej, który główrie się przyczynił do założenia i rozwoju teatru.

Amatorowie włościanie z Jedlicza wystawili już kilka sztuk ludowych, urządzili też szereg obchodów narodowych, dochód z przedstawień obracając w części na spłatę urządzenia sceny oraz na jej ulepszenie, a w części na wycieczkę do Krakowa. Wycieczkę tę urządzono w ubiegłym tygodniu.

G. DE TE'RAMOND.

# W OBRONIE HONORU.

## (TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

13 (Dokończenie).

Gdy w kancelaryi oznajmiono jej, że jest już wolna, zdawało jej się, że zemdleje, przypominając sobie jednak uwagi Pawła de Vareilles, pohamowała się i rzekła do sekretarza więzienia:

— Dziękuję panu.

W pięć minut potem rozwarła się przed nią ciężka brama. Żanetka znalazła się na ulicy. O kilka kroków obok stał samochód. Koło niego czekał, drżąc z niecierpliwości, Paweł de Vareilles. Wsadził Żanetkę do samochodu i zaraz ruszyli naprzód. Z początku jechali w milczeniu. Co chwila były porucznik patrzał przez okienko w tyle. Uspokoił się jednak wkrótce. Żadne niebezpieczeństwo im nie groziło. Nikt ich nie śledził. Młoda dziewczyna szeptała wzruszona:

— Ach, ileż wdzięczności winnam panu!

Lecz on przerwał jej łagodnie:

— Niech pani nie stosuje do mnie tego słowa... spełniłem tylko swój święty obowiązek... dopóki nie dokonam całego swego postanowienia, nie mam prawa do żadnego podziękowania... potem dopiero...

Zamilkł na chwilę i dodał drżącym głosem:

— Wtedy dopiero będę czekał, aż serce pani wyznaczy mi nagrodę, na jaką zasłużyłem...

Czy zrozumiała znaczenie tych słów? Czy myśl tajemna jej towarzysza była zarazem i jej myślą? Zapuściła swe długie rzęsy na jasne oczy i z twarzą, zarumienioną wstydliwie, odpowiedziała:

— Nie będę niewdzięczną.

Tak dojechali do Passy. Tam w stojącym na uboczu pensyonacie wynajął Paweł de Vareilles wygodne mieszkanko, z oknem na ogród.

— Odtąd — rzekł— będzie pani mieszkała tutaj, zdaleka od wszelkich trosk... czas doświadczeń już minął... wszystkie życzenia pani będą spełnione... nigdy nie sądziłem, że tak będę się cieszył z tego, iż jestem bogaty...

— Ach! — zawołała wzruszona — jakie szlachetne ma pan serce!

Jakaś ukryta jednak myśl, której nie mogła się pozbyć, stłumiła wylew jej radości. Widocznem było, że chciała się o coś zapytać, lecz nie śmiała. Spostrzegł to jej opiekun.

— Coś panią niepokoi, Żanetko? — zapytał — proszę mi się zwierzyć... postaram się rozwiać wszelkie nieporozumienie, by nic nas nie rozdzielało...

Rzekła tedy:

— Dlaczego pan, człowiek tak łagodny i dobry, zabił tego biednego oficera?... Czy nie uważał mnie pan za dosyć uczciwą, bym mogła się oprzeć jego natarczywości?...

— Niech pani uspokoi się — odparł poważnie — nie kierowałem się żadną nierozumną obawą lub zazdrością, która mogłaby pięć zniewagą dla pani... W swoim czasie pozna pani pobudki, które mnie skłoniły do ukarania tego nędznika... żadnego wyrzutu nie doznaję z tego powodu...

— A ten nieszczęśliwy inspektor, którego pan...

Przerwał ze śmiechem:

— Wyrzucił przez okno?... Och, proszę się nie lękać, droga Żanetko... nigdy nie liczę na żaden wypadek... zanim dałem mu tę lekcyę grzeczności, wiedziałem, że upadnie na markizę nad werandą i że nic mu się złego nie stanie...

Tymczasem pan Rodanet, przeglądając następnego tygodnia papiery, odnoszące się do sprawy o zabójstwo kapitana, rzekł do swego pisarza:

— Nie mogę jednak trzymać do nieskończoności w więzieniu tej młodej dziewczyny... trzeba coś postanowić... zaraz ją skonfrontuję z inspektorem i jeżeli to nie da żadnych rezultatów, każę ją wypuścić...

Nie dokończył jeszcze swych słów, gdy zapukano do drzwi.

Woźny oznajmił, że inspektor już jest i czeka na przyjęcie.

— Niech wejdzie.

— Panie sędzio — rzekł uradowany Lapipe, jak człowiek, który przynosi dobrą nowinę — odkryłem fakt, potwierdzający najzupełniej to wszystko, co twierdziłem o zabójstwie kapitana Fraskopelly.

— Cóż to takiego? — zdziwił się pan Rodanet.

— Wychodziłem właśnie od siebie, by udać się do pana sędziego, gdy nagle na bulwarach zatrzymuje mnie przyjacielskim ukłonem jakiś jegomość.

— Ach! Mister Lapipe, how do you do?... Nie poznaje mnie pan?

Starałem przypomnieć go sobie.

— Ależ tak — zawołałem po chwili — poznaję... tak... Marsylia... „Stary Czarny Pies"... pan jest kapitan William?...

— Yes!

— Który ma trzy córki na wydaniu?

— Niestety, do tej pory!... Doszło do tego, że dom mój zamienił się w czyste piekło... nie mam spokoju, chyba na swym statku na pełnem morzu... Ale co u pana słychać, mister Lapipe... złapał pan tego dziwnego pasażera?..

— Jeszcze nie — odparłem niechętnie — ale wkrótce to nastąpi... Ach! Kapitanie, co to za zuch, jaki strzelec!...

— Nie potrzeba mnie o tem mówić, mister Lapipe! W czasie jazdy strzelał do mew, latających koło okrętu i zawsze trafiał, nawet z rewolweru... kupił go nawet odemnie, mówiąc, że jest to doskonała broń... to prawda, gdyż była to robota Stephensona!...

Przy nazwisku tem aż podskoczyłem z radości.

— Stephenson?

— Tak... najlepsza marka amerykańska...

— A nie pamięta przypadkiem kapitan numeru tego rewolweru?

— Doskonale!

Wyjął z kieszeni notes i podał mi zapisany w nim numer:

— 12.334...

— Jest to panie sędzio — mówił dalej inspektor — numer rewolweru, który leżał na stole przy zwłokach kapitana Fraskopelly! Zabójca kapitana jest więc pasażerem ze „Starego Czarnego Psa"... ja więc miałem racyę!...

— Istotnie — szepnął pan Rodanet, zmieszany tem wszystkiem, co usłyszał — pan ma doskonały węch, panie Lapipe... nada to nowy obrót tej sprawie... Przedtem jednak należy wezwać obwinioną przez pana i zmusić ją do mówienia...

Podszedł do drzwi i zawołał:

— Panna Levasseur!

Dozorca więzienny, który czekał już od pewnego czasu na ławce, podniósł się i podał mu list.

Pan Rodanet rozerwał nerwowym ruchem kopertę i przeczytał ze zdumieniem te słowa:

„Dyrektor więzienia Saint-Lazare ma zaszczyt oświadczyć Panu Sędziemu śledczemu, że więzień Żaneta Levasseur została uwolniona 31 marca b. r., stosownie do urzędowego rozporządzenia Pana Sędziego śledczego, podpisanego dnia poprzedniego"...

## XIV.

### Tajemniczy nieznajomy.

Chociaż stwierdzenie faktu tego było nadzwyczaj przykre dla pana Rodaneta, przedsięwziął jednak natychmiastowe śledztwo, które wykazało, w jak śmiały a zarazem prosty sposób została uwolniona Żaneta Levasseur.

— Teraz już pan sędzia przekonał się chyba — zawołał Lapipe — gdy, jak święty Tomasz nietylko pan widział, lecz i dotykał się palcem... istnieje więc, czy nie istnieje to tajemnicze indywidyum, które morduje ludzi... uwalnia swoich spólników... drwi z policyi... i kpi ze sprawiedliwości?

— Bez wątpienia! — odparł Rodanet zamyślony.

Najwięcej niepokoiło go to, iż sprawa cała przedostanie się do dzienników i okryje go śmiesznością z tego powodu, że dał się wywieść w pole. By uniknąć też złośliwych dziennikarskich komentarzy, które mogłyby zaszkodzić jego karyerze, postanowił oznajmić, że on sam istotnie wydał rozkaz wypuszczenia na wolność młodej dziewczyny, o czem w nawale spraw, jakie prowadzi, zapomniał chwilowo.

Choć bez wielkiego przekonania, dodał jednak:

— Będzie można ją odnaleść!

— Łatwo to powiedzieć, panie sędzio... szukać jej teraz po tygodniu... ptaszek frunął już daleko!...

— Eh, pan ją odszuka... przy pańskim sprycie mogę nie obawiać się o wynik...

Inspektor jednak, nieczuły na komplementy, potrząsł tylko w milczeniu głową, by nie odpowiedzieć ironicznie, że lepiej nie trzeba było trzymać na wierzchu stołu podpisanych rozkazów uwolnienia.

Wychodząc z gabinetu sędziego, inspektor skierował się wprost do dyrekcyi policyi.

— Co się panu stało, panie Lapipe? — zapytał dyrektor, patrząc na jego zmartwioną minę.

— Proszę pana dyrektora — odpowiedział bezdźwięcznym głosem — mam dwadzieścia lat dobrej i bezustannej pracy w policyi, dwadzieścia lat, podczas których nie oszczędzałem ani swego czasu, ani sił...

— Wiem o tem — odrzekł dyrektor, nie przypuszczając, dokąd inspektor zmierza.

— Mam więc zaszczyt złożyć w pańskie ręce prośbę o uwolnienie.

Dyrektor zaczął się śmiać.

— Panie Lapipe, pan już mi o tem mówił... odpowiedziałem, że to niemożebne... z takimi agentami jak pan, nie rozstaję się nigdy!...

— A jednak trzeba — westchnął inspektor — i mnie jest bardzo przykro opuszczać zajęcie, które lubiłem i któremu poświęciłem całe swe życie... lecz co czynić?... Jestem zmęczony... potrzebuję spoczynku... a przytem i moja żona męczy mnie ciągle, byśmy przenieśli się na wieś... nie znosi powietrza paryskiego!...

— Ta, ta, ta, panie Lapipe, stara się pan ukryć przedemną prawdziwe pobudki... jest tam coś, czego pan nie chce wyjawić...

Inspektor wahał się przez chwilę, potem zdecydował się nagle i zaczął mówić:

— Prawda, panie dyrektorze... wszystko już powiem... mianowicie, iż w moim wieku nie jest się usposobionym do odgrywania roli Szerloków Holmesów!

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, iż dzisiaj zawód nasz nie jest tem, czem był przed dwudziestu laty, gdym wstępował do policyi... wtedy żądano od agenta tylko wiele brawury i trochę sprytu... i przy tych zaletach łatwo było chwytać przestępców, rzadko też która zbrodnia pozostała nieukarana...

— Bez wątpienia, lecz...

— Dzisiaj wszystko się zmieniło... zbrodniarze inaczej teraz działają... ich poziom, że tak powiem, podniósł się wysoko... miejsce brutalnej siły zastąpiła u nich inteligencya... dokonywują swych ciosów z niezwykłą maestryą... nic nie pozostawiają wypadkowi... zabezpieczają się pod każdym względem, by ich nie odkryto... a jeżeli przypadkowo odnajdzie się którego, to po to, by nie módz go aresztować...

— Więc cóż z tego?

— A ja jestem ze starej szkoły... rzucić się na opryszka, który wyjął na mnie nóż lub wycelował rewolwer, to ja mogę... nie umiem jednak wyjaśniać tajemnic i układać sensacyjnych romansów... walczyć z telefonem, mikrofonem, telegrafem bez drutu, dynamitem, chloroformem i chlorkiem metylu i tysiącami innych wynalazków, którymi posługują się przestępcy, to nie jest w moim zakresie... Oto i wszystko!...

— Niechże pan jaśniej wytłomaczy się, panie Lapipe...

— Pan dyrektor śmiał się ze mnie, gdy ja postawiłem hypotezę, że jest tajemniczy nieznajomy, który dopuścił się całej seryi zbrodni, a nie dał się schwytać... tymczasem nie można już o tem nawet wątpić...

I opowiedział mu szybko wszystko, co się stało od ostatniego ich widzenia, po zabójstwie kapitana, a w końcu dodał:

— Nie czuję się na siłach walczyć z nim... wolę cofnąć się, uznając się za zwyciężonego.. niech inny zdobywa tę trudną sławę... chociaż nadzwyczaj bolesną jest mi ta konieczność, przyniosę jednak jutro panu dyrektorowi swą prośbę o uwolnienie...

— Ależ, panie Lapipe, niech pan się tak nie poddaje!... Kara przychodzi nieraz wolno, ale zawsze przychodzi... i najczęściej wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy!... Nie można więc rozpaczać... Skończy się na tem, iż będziemy mieli tego ptaszka... i tak jestem tego pewien, mój drogi panie Lapipe, iż proszę, by pan pozostał z nami...

— Nie, nie, panie dyrektorze!... Chociaż bardzo pochlebne są dla mnie pańskie słowa i bardzo sobie cenię pańską zachętę, moje postanowienie jest stałe... muszę już odejść...

Dyrektor popatrzył uważnie na inspektora i rzekł powoli z wielką powagą:

— Panie Lapipe, co pan myśli o żołnierzu, który opuszcza swój posterunek w czasie walki?

Inspektor zbladł. Słowa szefa dotknęły go, jak uderzenie batem. Wyjąkał kilka niewyraźnych przeproszeń. Dyrektor jednak nie dał mu owładnąć sobą, lecz mówił dalej z serdecznością:

— Pan jeszcze namyśli się... opanowało pana chwilowe zniechęcenie... Któż go z nas nie zaznał?... Niech pan wróci do siebie i spocznie. Za dni kilka przyjdzie pan do mnie i wtedy naradzimy się, co uczynić, by schwytać tego człowieka, który spędza sen z oczu pańskich... prawda, zrobi pan to?...

Lapipe skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Co ma teraz uczynić?... Nie wiedział nic... Szef jego ma racyę, dezercya w podobnych warunkach

jest niegodną jego honoru, a jednak po co upierać się przy sprawie, której niezdolny jest poprowadzić? Gdzie szukać tego tajemniczego nieznajomego, którego wypadek oddawał mu już kilka razy w ręce, a on nie mógł z tego skorzystać? Jeżeli jeszcze liczyć na szczęście, to może trzeba będzie zbyt długo czekać na nie!

Przybity temi wszystkiemi myślami i nie mogąc na nic się zdecydować, szedł wolno bulwarem Saint-Germain. W górze przy ulicy Saint-Jacques robotnicy poprawiali bruk. Jedni zrzucali z wielkich wozów drewniane kostki, drudzy kopali motykami ziemię, podczas gdy pozostali wbijali słupki, aby zawiesić na nich sznury i w ten sposób odgrodzić zajętą przez robotę część ulicy. Nagle z piersi przypatrujących się brukowaniu ludzi wyrwał się okrzyk przestrachu; z góry bardzo stromej ulicy Saint Jacques pędził jak strzała rower motorowy, na którym, jakby cudem utrzymując jeszcze równowagę, siedział jakiś cyklista. Napróżno kilku odważnych starało się go zatrzymać; rower, w którym w dodatku pękł łańcuch, nie dał się zahamować cykliście i groził lada chwila rozbiciem na zarzuconej kostkami ulicy.

Lapipe zdaleka przypatrywał się temu strasznemu pędowi, czując, że nikt nie jest w możności zapobiedz nieszczęściu. Naraz przed oczami jego rozegrała się niespodziewana scena. Jeden z przechodniów, gdy cyklista dojeżdżał już do niego, schwycił z ziemi sznur i rzuciwszy nim jak lassem, zatrzymał rower na miejscu.

Inspektor zatrząsł się cały. Ta zimna krew... ta zręczność... to może być tylko on!... Tajemniczy nieznajomy, którego odnajduje wówczas, gdy go uważał już za nieuchwytnego. Tym razem już mu się nie wymknie... i szalony z radości Lapipe rzucił się naprzód...

Podczas gdy kilka litościwych osób zakrzątało się koło niefortunnego cyklisty, który na szczęście więcej doznał strachu, niż uszczerbku na ciele, inni skupili się koło jego zbawcy, by go podziwiać. Napróżno starał się uchylić od zgotowanej sobie owacyi. Otoczono go i nie chciano puścić. Wreszcie zdołał się wydostać z tłumu i już gotował się odejść czemprędzej, gdy nagle inspektor przecisnął się między zebranymi i stając przed nim, zawołał:

— Wreszcie mam pana!

Przez chwilę obaj mężczyźni przypatrywali się sobie... tak to on... naprawdę on... te same jasne stalowe oczy...

Położył mu wtedy rękę na ramieniu i rzekł:

— Jestem inspektorem policyi, proszę iść za mną...

Wśród obecnych, którzy nie rozumieli nic z tej sprawy, rozszedł się pomruk, niechętny dla przedstawiciela policyi.

Zatrzymany, nie tracąc wcale spokoju, zapytał:

— A dokąd?

— Do dyrektora policyi...

— Jak to się dobrze składa — odrzekł flegmatycznie — właśnie tam idę...

Ta pewność siebie stropiła trochę inspektora.

— Nie byle jaki to zuch — pomyślał inspektor — ale zobaczymy, jaką potem będzie miał minę...

Tymczasem zatrzymany mówił dalej najspokojniejszym tonem:

— Pisałem do dyrektora prośbę o przyjęcie... naznaczył mi je na pół do szóstej.

I wyciągając zegarek, dodał:

— Dopiero jest kwadrans na szóstą... nie spóźniłem się... cieszę się, że to pan pokaże mi drogę.

Inspektor dał jednak ukradkiem znak dwom strażnikom, by dobrze czuwali i rzekł uszczypliwym tonem:

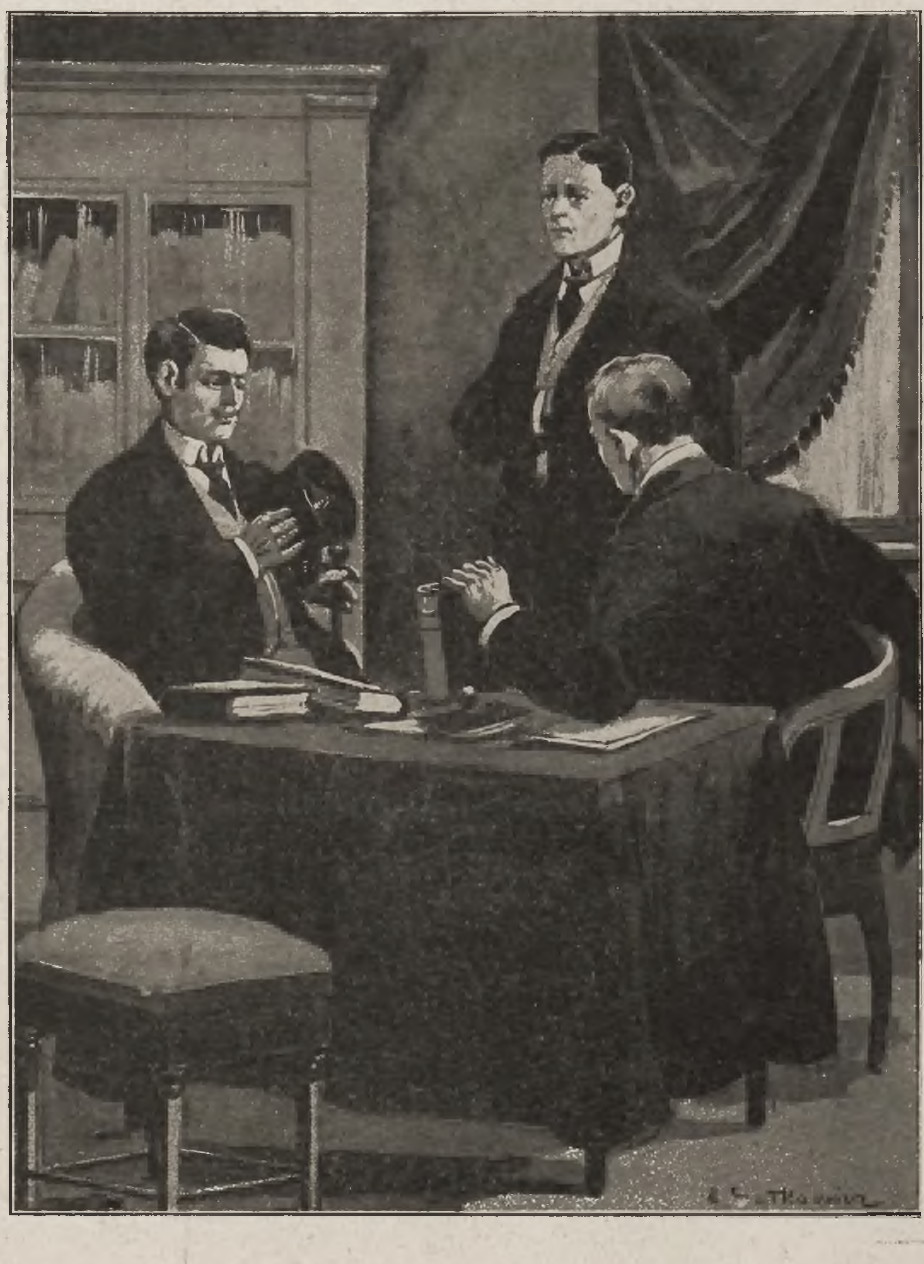
— Dobrze, dobrze, tylko niech pan nie próbuje umykać... mamy oko na pana...

I ruszyli razem naprzód, odprowadzeni przez tłum, gotowy świadczyć na korzyść odważnego zbawcy.

Wchodząc do gabinetu dyrektora policyi, Lapipe miał minę rozradowaną, nadszedł czas jego tryumfu. Nie zauważył tylko zdziwienia swego szefa, że towarzyszy nieznajomemu, który starał się o jak najprędszą audyencyę w celu udzielenia bardzo ważnych zwierzeń; gdy chciał zacząć mówić, uprzedził go przyprowadzony nieznajomy.

— Poproszę pana Lapipa, by mnie pierwszemu pozwolił mówić... a przyrzekam, że jego usprawiedliwiona ciekawość nic na tem nie straci...

Dyrektor zaprosił przybyłego, by siadł i były porucznik rozpoczął opowieść swego życia. Obaj urzędnicy policyi słuchali go z coraz większem zdumieniem. Jeżeli zapomnieli o zdradzie tulońskiej, która już wszystkim wyszła z pamięci, to nie mogli obronić się przed podziwem tej siły charakteru



Obaj urzędnicy policyi słuchali go z coraz większem zdumieniem.

i niezwalczonej energii, która podtrzymywała tego człowieka w strasznych doświadczeniach, jakie mu los zgotował.

— Nie przeszkadza to jednak — rzekł poważnie Lapipe, gdy on skończył — że zmuszeni jesteśmy widzieć w panu zabójcę z ulicy Biot, gdyż zbrodnia w hotelu „Księcia Portugalskiego“ została spełnioną przez pana!

— Wie pan dobrze — odpowiedział Paweł de Vareilles — że musiałem bronić swego życia przed napadem szczura hotelowego, a czyż nie był to wypadek, przewidziany przez prawo, zupełnie słusznej obrony siebie?

— Istotnie — potwierdził dyrektor — i nie mamy bynajmniej zamiaru czynić za to panu wyrzutów.

— A zabójstwo bankiera Korpfstraussa? — zapytał niewzruszony inspektor.

— Och, co do tego, panie Lapipe, jestem zupełnie spokojny! Działałem w obronie swego honoru. Odarty przez niego ze czci, wymierzyłem tylko temu nędznikowi karę, na jaką zasłużył sobie przez swe szpiegostwo i niecny czyn, wskutek którego zostałem niewinnie skazany. To będzie mojem tłomaczeniem, które mi zjedna pobłażanie sędziów. Zemsta moja była sprawiedliwą i jeżeli nie zostanie mi wybaczoną, to jednak sumienie nic mi nie będzie wyrzucało.

Inspektor potrząsł tylko głową.

— To możliwe. Lecz kto panu dał prawo zabijać kapitana Fraskopelly? Gdyż w każdym razie...

— Czyniąc to, stawałem w obronie swego honoru i dobra ojczyzny, którą uwolniłem od niebezpiecznego szpiega!... Tak, bezwątpienia, mogłem go oddać w ręce sprawiedliwości, sam się tem nie plamiąc... lecz czyż aresztowanie go nie wywołałoby komplikacyi międzynarodowych i nie zagrażałoby spokojowi kraju?... Jego wstrętne postępowanie względem mej narzeczonej posłużyło mi tylko za pretekst... w ten sposób została zatuszowana sprawa jego szpiegostwa, któraby bardzo ujemnie mogła podziałać na opinię publiczną... czy panowie nie są tego zdania.

Dyrektor policyi podzielał jego zapatrywania.

— Panie — rzekł poważnie — zwierzenia te nie wydostaną się poza mury mego gabinetu...

— Adwokat mój — kończył Paweł de Vareilles — został przyjęty wczoraj przez ministra sprawiedliwości i wręczył mu wszystkie dokumenty... mogę więc spodziewać się, że wkrótce nastąpi ma rehabilitacya, która pozwoli mi chodzić z podniesionem czołem. Plany balonów sterowych, które szczęśliwie udało mi się odebrać, są złożone w pewnem miejscu... co zaś do pięćdziesięciu tysięcy franków, mających stanowić wynagrodzenie za ten wstrętny handel, to je zaraz na drugi dzień przesłałem dla biednych Paryża... oto pokwitowanie...

Potem zwrócił się do inspektora i rzekł:

— Teraz nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko prosić pana Lapipa o przebaczenie za kilka kawałów, jakie mu zrobiłem... lecz to nie moja wina... Słusznie mówią ludzie, że gdy człowiek tylko jedną nogą stanie w zbrodni, wpadnie w nią zaraz i całem ciałem!... Jeżeliby ten naiwny kapitan William i półgłówek Newton nie wmieszali się do tego, co do nich nie należy, niby się z tego wszystkiego nie stało... byłem ofiarą okoliczności, spodziewam się jednak, że me lojalne tłomaczenie pozwoli panu inspektorowi uścisnąć mą dłoń... Panie dyrektorze — dodał — jestem do pańskiej dyspozycyi, dopóki nie odbędzie się rewizya mego procesu, gdyż potem...

— Nie pozostaje pan we Francyi?

— Nie! Jak tylko będę mógł, powrócę do Ameryki... mam tam wielkie przedsiębiorstwa... a przytem wyznam, że ta cywilizacya, jaką ujrzałem po dwudziestu latach nieobecności, wcale mnie nie zachwyciła. Porównywując ją z czystą naturą, poznałem całą jej nicość... A wyjazd mój — rzekł z lekkiem wzruszeniem w głosie — nie będzie już wygnaniem; jedzie ze mną towarzyszka, która rozjaśni moją samotność i utuli tęsknotę za ojczyzną... Żaneta Levasseur zgodziła się być moją żoną i pozwoliła mi w ten sposób spłacić święty dług, zaciągnięty względem jej ojca.

Dyrektor policyi skłonił się przed nim.

Gdy odprowadzał Pawła de Vareilles aż do drzwi swego gabinetu, Lapipe, który nie mógł ochłonąć jeszcze ze zdumienia, mruczał do siebie ze złością:

— I co na to poradzić, że wszelkie takie historye kończą się małżeństwem? Przeklęta sprawa!... Przyjechał bronić honoru, a wywozi stąd żonę!...

KONIEC.

## Od Redakcyi:

W numerze niniejszym kończymy druk dwu powieści, a mianowicie **„Czarnej księżniczki“** i **„W obronie honoru“**. W miejsce **„Czarnej księżniczki“** rozpoczynamy równocześnie nową, sensacyjną powieść p. t. **„Szpieg X. 323“** powieść jedną z najlepszych, jakie ukazały się w literaturze beletrystycznej francuskiej.

Równocześnie pojawia się początek powieści **„Wydrążona igła“**, która zastąpi "Zapach czarnej damy“.

W numerze następnym w miejsce „W obronie honoru“, rozpoczniemy druk powieści **„Który z nich“**, bogato illustrowanej.

# Zawody aeronautyczne w Reims.

Ubiegły tydzień, począwszy od 24 aż do 29 sierpnia, ważnym był w dziejach rozwoju żeglugi powietrznej, w tym czasie bowiem odbywały się w Bétheny pod Reims międzynarodowe zawody aeroplanów, do których stanęli najwybitniejsi awiatorzy ostatnich czasów, z wyjątkiem braci Wrightów.



Zawody aeronautyczne w Reims: Słynny awiator Blériot (X) czyta sprawozdanie z przebiegu zawodów.



**Laureatka tegorocznego konkursu piękności w Reichenhall**: Panna Irena Szwarcówna, wiolinistka z Warszawy.



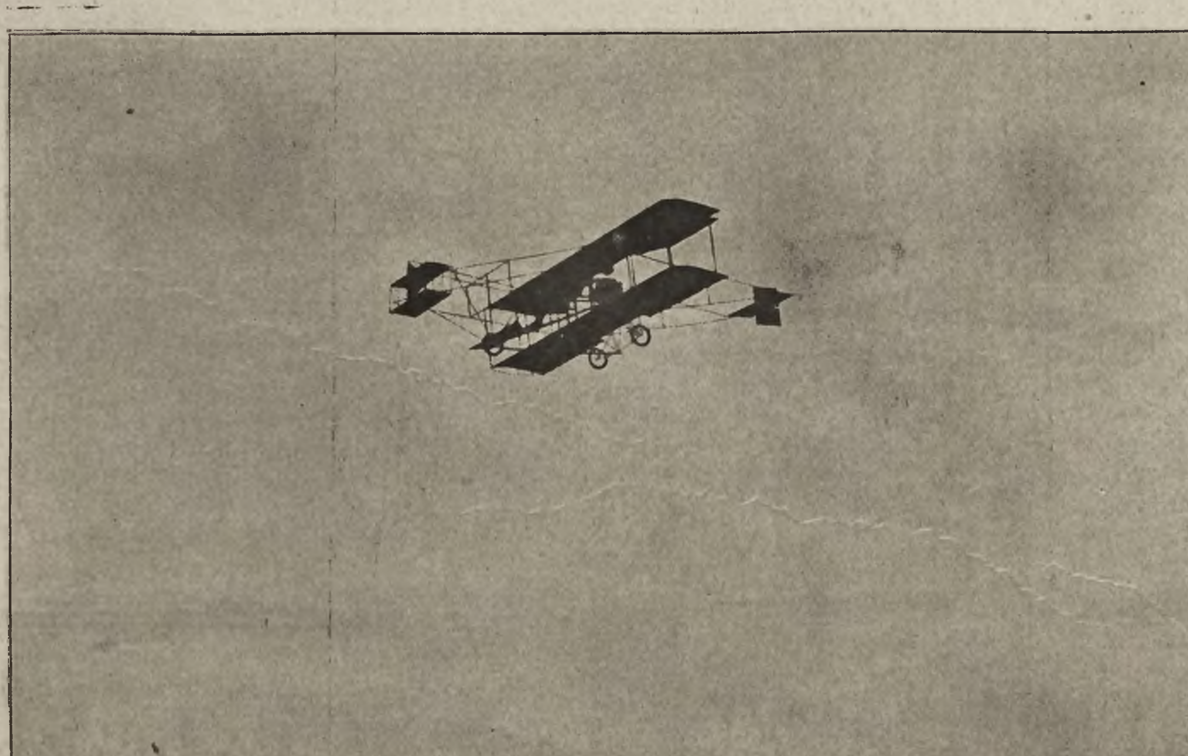
**Zawody aeronautyczne w Reims**: Szopy dla pomieszczenia aeroplanów.

Zawody te odbywały się w specyalnie dla nich urządzonym aerodromie, którego cztery boki mierzyły razem 10 kilometrów długości. Warunki atmosferyczne, deszcz i silne wiatry, wogóle nie sprzyjały wzlotom, które jednak wykazały olbrzymie postępy awiatyki w ubiegłych dwóch latach. Scharakteryzował je zręcznie jeden z awiatorów, oświadczywszy, że dla żeglugi napowietrznej skończyła się obecnie era niepodobieństw a zaczęła era trudności.

Ostatecznie nagrodę Gordona Bennetta — dzieło sztuki i 25.000 franków — w zawodach o rekord szybkości zdobył Amerykanin Glen Curtiss, okrążywszy arenę w 7 min. 53½ sekundy, główna zaś nagroda Szampanii, w kwocie 50.000 franków, przypadła Francuzowi Farmanowi za długość przestrzeni i czas przebywania w powietrzu. Przeleciał on bowiem faktycznie na swym biplanie bez przerwy 186 kilometrów w czasie 3 godzin i 13 sekund. Nagrodę drugą, 25.000 fr., otrzymał Latham za lot 154 km. 620 m.; trzecią — 12.500 fr. — Paulhan za lot 133 km.; wreszcie czwartą — hr. Lambert za lot 116 km.

Cała Francya zajęła się niezmiernie żywo zawodami w Bétheny. Pomimo niepogody po sto tysięcy ludzi a wśród nich dużo Amerykanów i Anglików bywało codziennie zgromadzonych na trybunach aerodromu, zwycięscom zaś urządzano burzliwe owacye, a szczególniej Farmanowi, który ogłoszony został pierwszym awiatorem świata. Na jak długo jednak — to pytanie, gdyż awiatyka czyni tak szybkie postępy, że już w najbliższym czasie może jego rekord pobić jakiś inny, szczęśliwszy awiator.

Ryciny nasze przedstawiają: olbrzymie szopy, służące za garaże dla aeroplanów, Curtissa, unoszącego się w powietrzu na maszynie własnej konstrukcyi, oraz Blériota, który chociaż nie wyszedł zwycięsko z ostatnich zawodów, uważany jednak być musi, z racyi swego lotu przez kanał La Manche, za najodważniejszego ze współczesnych żeglarzy napowietrznych.



**Zawody aeronautyczne w Reims**: Awiator amerykański Curtiss, unoszący się w powietrzu na aeroplanie własnej konstrukcyi.

# KRONIKA TYGODNIOWA.

(Po wakacyach. — Zeppelin w Berlinie. — Tryumf Niemców. — List Kopernika. — Nieco o Wicie Stwoszu. — Renegaci. — Sławna Dyana berlińska. — Wystawa w Częstochowie, udział w niej Niemców i Galicyi. — Wycieczki na wystawę. — Cholera i wybory. — Sejmy krajowe. — Mrowisko bałkańskie).

Ostatni tydzień kanikuły, zwanej w życiu codziennem wakacyami, dobiega szczęśliwie końca. Kraków przybiera zwykły swój wygląd, o ile, rozumie się, nie zmienia go rozkopana ulica Grodzka, gdzie rozpoczyna się asfaltowanie. Ruch przejezdnych i Krakowian, wracających z willegiatury do domowych pieleszy, z dnia na dzień wzrasta, za kilka dni nastanie zupełna równowaga, a krajowe i c. k. rządowe fabryki oleju, zwane szkołami, rozpoczną normalnie funkcyonować. Kupcy zacierają ręce, bo ojcowie i mamy ekwipują swe umundurowane pociechy. na Szpitalnej ożywienie, niczem na jarmarku księgarskim w Lipsku.

A tymczasem oczy całego świata zwróciły się w stronę Berlina, gdzie święci niebywałe tryumfy, największy Niemiec dwudziestego stulecia, jak go nazwał cesarz Wilhelm. Po podróży z przeszkodami, złamaniu i zgubieniu śruby, przybył Zeppelin z Friedrichshafen do Berlina, gdzie oczekiwały nań rozentuzyazmowane tłumy. Kto żył w mieście i okolicy wyruszył na pole ćwiczeń wojskowych w Tempelhofie. Począwszy od cesarza, a skończywszy na sztubakach z pierwszej normalnej, wszystko, zapatrzone w niebo, czekało i doczekać się nie mogło. Wygasły w tym dniu ogniska rodzinne i kuchenne, tak pamiętający o swych żołądkach Berlińczycy po raz pierwszy od czasu zjednoczenia Niemiec nie zrobili awantury, iż obiad nie był gotowy na czas oznaczony. Już zdawało się, iż i tym razem zawiedzie sławny aeronauta oczekiwania Berlińczyków, a całe patryotyczne napięcie na nic się nie zda, gdy nareszcie nad Berlinem pojawił się latający potwór i trzykrotnem pochyleniem dzioba złożył hołd władcy wszech-Niemiec. Okrzyki, oklaski, śpiewy.., mowa cesarza, odpowiedź Zeppelina, obiad i odjazd z powrotem.

Tydzień awiatyczny w Rheims i rekord Blériota w przeprawieniu się przez kanał la Manche znalazły zrównoważenie i zaspokoiły patryotycznych Niemców, że przecież przewaga w powietrzu stanowczo do nich należy.

Zeppelin wobec swych aeronautycznych tryumfów staje rzeczywiście w rzędzie znakomitych wynalazców i słusznie się nim Niemcy chlubią, osłodzi on im bolesne chwile, jakie spowodowało odnalezienie listu Kopernika w Upsali, w którym znakomity astronom w sposób dość niegrzeczny wyraża się o poprzednikach dzisiejszych wszech-Niemców ś. p. Krzyżakach. Po tym liście chyba Niemcy nie będą się już upierać, że on do nich należy, skoro wyczytali tam tak gorzkie słowa uznania. Pisząc do króla Zygmunta Starego, narzeka Kopernik na członków zakonu krzyżackiego, iż maltretują okoliczną ludność, niszcząc jej dzierżawy ogniem i mieczem i nazywa ich zupełnie otwarcie: *praedones, latrones et homines scelerati*, co na polskie tłómaczy się: łotry, pierwszorzędnej jakości. List ten w czasie łupieskich wypraw szwedzkich w granice Polski stał się ofiarą najezdników i wraz z innymi zabytkami pomnożył ich zbiory, przeleżał jednak nie kilkaset lat w zapomnieniu i dopiero obecnie odnaleziono go w Upsali. Powtarzam to na odpowiedzialność pism codziennych, sam go bowiem nie widziałem, w każdym razie przyznać trzeba, iż, jeśli jest autentyczny, to Kopernik był nietylko znakomitym astronomem, ale i wybornym zuawcą ludzi.

I drugi z średniowiecznych Polaków nie daje Niemcom spać spokojnie. Anektują oni dla siebie Wita Stwosza, który, jak to wykazuje J. Baader w swej broszurze: *Veith Stoss kein Pole* — miał być rodowitym Niemcem. Nie będę się w tym względzie kłócić ze Szwabami, zostawiam to znawcom sztuki i historykom, zaznaczyć jednak wypada, że chyba Stwosz nie bardzo był dumnym z swego pochodzenia niemieckiego, jeśli wogóle był, skoro wcale niedwuznacznie przyznawał się do polskości. Zupełnie inaczej czynią obecni „rodowici" Niemcy pp. Podbielsky, Posadowsky, Radoliński, Sułkowski *et tutti quanti*, jak już same nazwiska wskazują potomkowie rycerzy z pod Grunwaldu, niestety jednak nie z pod sztandaru wielkiego mistrza. Z czasem rodziny te uległy zniemczeniu i dziś każdy z ich członków uważałby dla siebie za obrazę, gdyby mu wspomniano jego słowiańskie pochodzenie. Nie powinno to jednakże zbytnio nikogo martwić, jak długo świat istnieje, znajdą się zawsze odstępcy, którzy za misę soczewicy gotowi bez wahania sprzedać swe pierworodztwo. Wartość ich jest zresztą tak minimalna, iż płakać po nich nie będziemy.

Kłopotu narobiła także Niemcom sławna Dyana, którą chwalili się niemniej, jak Zeppelinem. Wprawdzie nie jest to starorzymska bogini, ale tylko jej imienniczka pisięo rodu, piastująca przy berlińskiej policyi funkcye agenta śledczego; ucieczka jej, a jak pierwotnie sądzono wykradzenie, zmartwiło przełożonych i cały Berlin, co znalazło oddźwięk i w niemieckiej prasie. Po jakimś czasie powróciła uciekinierka i zgłosiła napowrót do służby, rzecz jednak prosta, nie może już cieszyć się takiem, jak pierwej zaufaniem. Tu i ówdzie podniosły się głosy, iż powróciła dlatego, aby wziąć osobisty udział w przyjęciu wujcia Zeppelina, jako bowiem osoba dopuszczona mogła być pewną, że prędzej ją dopuszczą na pole Tempelhofskie, niż zwyczajnego śmiertelnika.

Wszystkie te wyżej przytoczone zmartwienia i kłopoty osłodził Niemcom Zeppelin, to też imię jego jest dziś na każdych ustach, a nawet galicyjscy wszech-Niemcy cieszą się swym narodowym bohaterem. Być może, że przypłynie Zeppelin w obłokach i nad Galicyę, aby im osobiście podziękować, przy tej sposobności mógłby im ułatwić podróż do *Vaterlandu*. Nie będziemy ich zatrzymywać, ani czynić żadnych wstrętów przy odjeździe, owszem pożegnamy ich entuzyastycznie naszem starem: Jedź szczęśliwie, a nie wracaj!

Separatystyczne dążenia Niemców, przebywających pośród nas, znane są oddawna. Ciałem przebywają oni na polskiej ziemi, duch ich dąży zawsze za słupy graniczne, w stronę brudnej Sprewy i zadymionego Berlina. Nic też dziwnego, że niemieccy fabrykanci z Królestwa polskiego nie wzięli udziału w wystawie częstochowskiej. Wyszła na tem najlepiej sama wystawa, gdyż zamiast charakteru krajowej, ma ona wybitnie polsko-czeskie piętno. Łódzcy Niemcy urządzą może osobną wystawę na uczczenie Grunwaldu, aby nadrobić dobrą miną i osłodzić sobie w ten sposób przykre wspomnienie.

Nie można tego jednak Niemcom łódzkim tak bardzo brać za złe, skoro przecież c. k. Galicyanie, jak statystyka wykazuje, należący do narodowości polskiej, o wystawie prawie zapomnieli i odnoszą się do niej z dziwną jakąś obojętnością. W ostatnich dniach zmienia się, dzięki Bogu, na lepsze, a dobry przykład dał krajowi marszałek Badeni, który nie czekał na sprawozdanie Ligi pomocy przemysłowej, mające się ukazać po zamknięciu wystawy, ale osobiście ją zwiedził. Interwiewowany przez dziennikarzy lwowskich oświadczył bez ogródek, iż wystawa jest wspaniała i zasługuje na zwiedzenie. W dniu 31 sierpnia wyruszyła z Krakowa pierwsza gremialna wycieczka na wystawę częstochowską i do Warszawy, urządzona przez „Straż Polską" pod przewodnictwem niestrudzonego jej prezesa p. Kazimierza Bartoszewicza. Na kilkadziesiąt osób, biorących w niej udział, z Krakowa jest aż jedna czy dwie..., reszta pochodzi z dalszych stron Galicyi. Widocznie Krakowianie powiadają sobie, że na Warszawę mają czas, np. do chwili zaprowadzenia regularnej komunikacyi balonowej, choć niestety trzeba przyznać, że w Krakowie znajdziemy daleko więcej osób, znających Wiedeń, Pragę, Berlin, Budapeszt, Monachium lub Tryest, niż drugą stolicę Polski. U nas odkłada się przecież zawsze wszystko na później i narzeka się na każdego, kto się poważy powiedzieć prawdę w oczy.

Cholerą tłómaczyć się także nie możemy, gdyż choć ciągle nas nią straszą, ma ona w Galicyi pobyt urzędownie zabroniony i wobec znanej energii miarodajnych czynników prawdopodobnie ani nosa tu nie pokaże. Wybory także nas obecnie nie zajmują, wakuje wprawdzie w Stryju mandat poselski do Sejmu po bł. pam. Fruchtmanie, przeznaczony jest już jednak dla ministra Dulęby, a innych wyborów tak prędko spodziewać się nie możemy. Przebąkują wprawdzie tu i ówdzie o możliwem rozwiązaniu Izby poselskiej i rozpisaniu nowych wyborów, wątpić jednak należy, czy bar. Bienerth zdobędzie się na podobnie niebezpieczny eksperyment, z nowych wyborów wyszłaby bowiem prawdopodobnie jeszcze radykalniejsza Izba, niż obecna. Główną troskę sprawia sternikom nawy państwowej uruchomienie sejmu czeskiego, od czego zawisłą jest równowaga w całej Przedlitawii. Baron Bienerth w czasie między 6 a 9 września ma zamiar porozumieć się w tej sprawie z szeregiem polityków, należących do rozmaitych stronnictw. Niemcy obstają przy podziale Czech na okręgi niemieckie i czeskie. Czesi zaś sprzeciwiają się absolutnie jakimkolwiek koncesyom na rzecz Niemców. Jeśli starania prezydenta ministrów nie doprowadzą do porozumienia, a sejm czeski, mający się zebrać w dniu 15 września, okaże się niezdolnym do pracy, nastąpi jego rozwiązanie, a w Austryi rozpoczną się rządy na podstawie § 14, tj. bez parlamentu. Paragraf ten wisi nad nami, jak miecz Damoklesa, a najbardziej przeraża posłów, którzy chcieliby, by otwarto raz już śluzy i puszczono strumień dyet, tak niecierpliwie oczekiwanych przez ich spragnione kieszenie.

I galicyjski Sejm zbierze się niebawem na jesienną sesyę, w czasie której ma się rozpocząć obstrukcya Rusinów, nieustających w narzekaniach, że przecież dzieje im się krzywda, tak ze strony Polaków, jak i Starorusinów. Wprawdzie obeszło się tego roku bez strajków rolnych w Galicyi wschodniej, a obecnie są najrozmaitsze strajki w modzie, agitatorzy nie ustają jednak w pracy i z wytrwałością, godną lepszej sprawy, kopią dalej przepaść między obu narodowościami. Charakterystycznem było odezwanie się Budzynowskiego na jakimś wiecu, iż niedługo zapieje w Galicyi czerwony kogut, coby oznaczało, że Ukraińcy swym wrogom pozwolą spokojnie zebrać plony, ale potem rozpoczną je palić. W kilku miejscowościach Galicyi wschodniej wybuchły też pożary, a jak śledztwo wykazało, poważnie w tem ręce umaczali miejscowi Siczownicy. Z tego należałoby wnosić, że słowa Budzynowskiego padły na glebę urodzajną. Sejm nasz jest jednakowoż tak spokojny, a rząd krajowy postępuje z Rusinami tak elegancko i lojalnie, iż nie należy się obawiać, aby krajowe nasze sprawy sprawiły jaką trudność rządowi centralnemu. Jak zwykle wyjdą na tem najlepiej Rusini, narzekając bowiem na swą krzywdę, zabierają nam z pod nosa najsmaczniejsze kąski i jeszcze im mało. Doszło do tego, że w Galicyi są Polacy *de nomine* partyą rządzącą, *de facto* zaś uprzywilejowanymi są jedynie Rusini. Co zwa żywszy, należy już z góry oświadczyć, iż rozpoczynająca się wkrótce sesya sejmowa będzie podobną do poprzednich, spokojną i zdecydowaną do ustępstw na rzecz uciśnionej Ukrainy. Gdyby tak dopuszczono do głosowania i wyboru nasze sufrażystki, Sejm zarazby się ożywił. Celem pogodzenia stronnictw wybrałoby się komisyę mieszaną, która powydawałaby za mąż najradykalniejsze polityczki (bo nie chcę użyć słowa: „poślice", jako nie mającego jeszcze prawa obywatelstwa) za najskrajniejszych posłów z przeciwnych stronnictw. W ten sposób walkę o zasady przeniosłoby się wkrótce w zacisze domowe, a w Sejmie nastałby znów upragniony spokój.

Z zagranicy nadchodzą wieści, przez nikogo zgoła niespodziewane. Zatarg turecko-grecki o wyspę Kretę skończył się najfatalniej dla Grecyi, która stoi w przededniu rewolucyi wojskowej. Spór sam między obu państwami uważać można za wyrównany. Podnoszą się głosy między greckimi mężami stanu, aby Kretę odkupić od Turcyi za gotówkę, podobnie jak to zrobiła Austrya w sprawie bośniackiej. Turek, jak wiadomo, łakomy jest na pieniądze, prawdopodobnie zgodzi się więc na propozycyę, ale, gdy rozpocznie raz masową sprzedaż swych nieruchomości, ciężko potem będzie się wstrzymać. Za Kretą pójdą Dardanele, które kupi Rosya, na Egipt mają Anglicy apetyt, Palestynę nabędą prawdopodobnie galicyjscy Arabowie, do Macedonii wszdycha oddawna Austrya i kto wie, czy nie nadejdzie chwila, gdy padyszach, wysprzedawszy wszystko, schowa do torby koronę i berło, harem rozpuści, a geografowie wykreślą Turcyę z karty Europy. *X.*

## Głosy publiczne.

**Kartki „Wisły".** Wydawnictwo pocztówek polskich artystycznych: „Wisła" w Krakowie, którego właścicielami są znani młodzi przemysłowcy pp. A. Stolarski i W. Zapała, okazuje coraz większą ruchliwość w nawiązywaniu stosunków z zagranicą, czego dowodem są liczne zamówienia, napływające nietylko z Europy, lecz także z kolonii polskich w Ameryce Poł. i Płd. Obecnie wchodzi wydawnictwo w nową fazę rozwoju, gdyż zakłada w celu energicznej i sprężystej akcyi własne filie we Lwowie i Warszawie, których celem będzie szybkie zaopatrzenie kupiectwa w prześliczne pocztówki i które przez to teraz skuteczniej walczyć będą i wypierać nienawistną pruską tandetę.

## Laureatka tegorocznego konkursu piękności w Reichenhall.

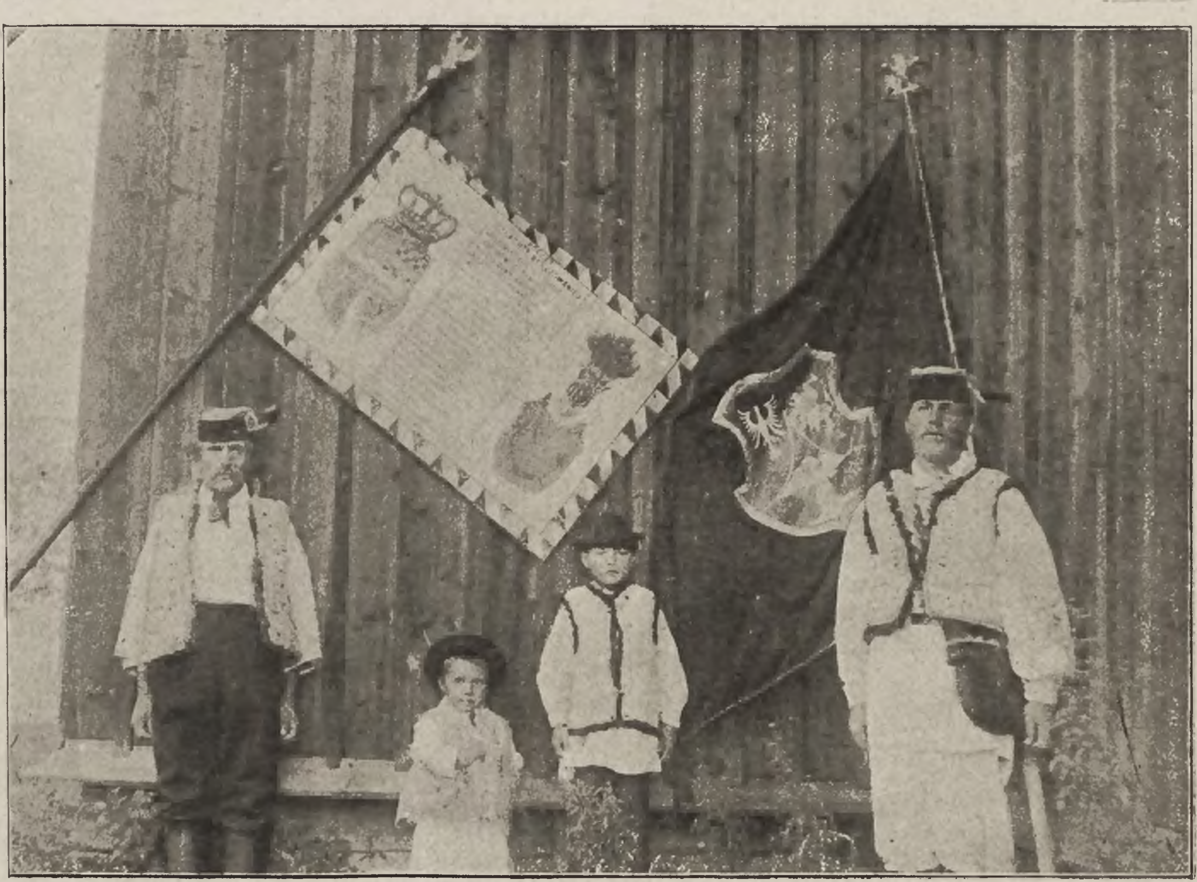
W większych miejscach kąpielowych urządzają zarządy zdrojowe najrozmaitsze rozrywki, mające na celu ściągnięcie i zajęcie kuracyuszy, szukających tu zdrowia lub wytchnienia. Do ich rzędu należą i konkursy piękności, obecnie jedno z popularniejszych urozmaiceń wesołego życia zdrojowego. Za przykładem innych poszło w tym roku i Reichenhall i urządziło w ubiegłym miesiącu doroczny konkurs piękności, na którym palmę zwycięstwa zdobyła warszawianka, panna Irena Szwarcówna. Opasłe Niemki i spłaszczone Angielki, które w bieżącym roku nader licznie odwiedziły to zdrojowisko, pożółkły ze zazdrości, musząc ustąpić miejsca pięknej, utalentowanej i sympatycznej Polce i zachodzi obawa, że cała ich tegoroczna kuracya pójdzie z tego powodu na marne. Zazdrość, to brzydka wada, niestety niewiasty w niej celują!

Panna Szwarcówna znaną jest u nas jako bardzo utalentowana artystka wiolinistka. Kraków miał ją sposobność słyszeć i podziwiać z okazyi koncertu, urządzonego w Starym Teatrze w dniu 13 kwietnia 1908, na rzecz sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju. Wstępnym bojem zdobyła sobie wówczas młoda artystka ogólne uznanie słuchaczów i surowych krytyków, a obecnie wdziękiem swej postaci oczarowała i nieczułych Niemców, którzy choć z bólem serca, że Polka, przyznać jej musieli pierwszą nagrodę. Szyk, wdzięk i uroda, któremi słyną warszawianki, zyskały niejako urzędowe potwierdzenie, nie dziwimy się też wcale natchnionemu poecie, który przed niespełna dwudziestu laty śpiewał:

„I pragnąłbym, aby kiedyś,
Gdy opuszczę życia szranki,
Sanctus Petrus dał mi miejsce
Obok jakiej Warszawianki!"

## Gniazdo sokole na wschodnich kresach.

Na wysuniętym najdalej ku Wschodowi brzegu Galicyi, wśród morza Rusinów, znajdują się tu i owdzie wyspy polskie, z prawdziwym pietyzmem pielęgnujące swe rodowe tradycye. Do najważniejszych z nich należy Berezów w powiecie peczeniżyńskim. Miejscowości te zamieszkane są przez ludność, różniącą się wybitnie od okolicznej, tak postawą, ubiorem jak i kulturą. Są to potomkowie osadzonych tu przez królów i panów polskich żołnierzy, którzy za zasługi na polu walki położone, uzyskali szlachectwo. W Galicyi wschodniej kościoły łacińskie nader rzadko są rozmieszczone i dostęp do nich jest trudny, szkoły, prócz utrzymywanych przez Towarzystwo Szkoły ludowej, przeważnie są ruskie, „Sokół" rozwija się tylko po miastach. To też prawdziwa radość nas przejmuje, ilekroć dowiemy się, że dzięki sta-



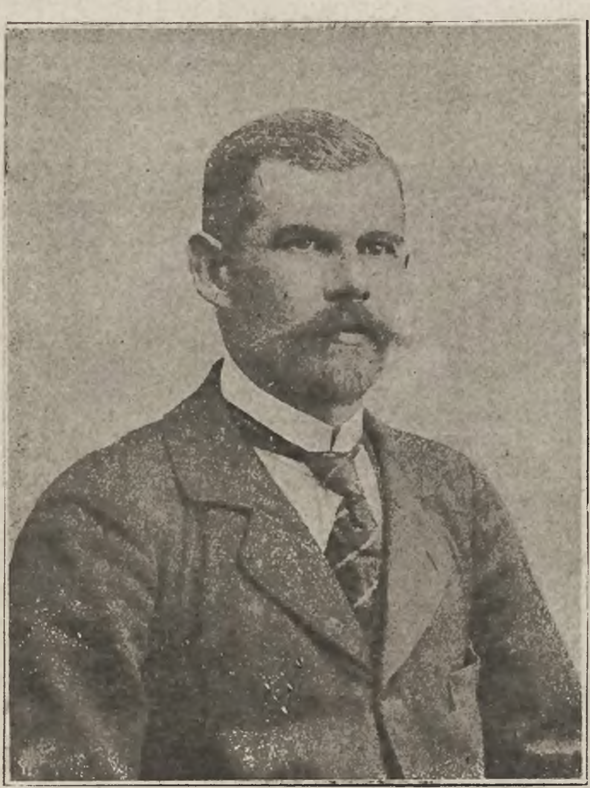
Gniazdo sokole na kresach: Sztandar szlachty berezowskiej i sztandar gniazda sokolego.

Szlachta Berezowska, zamieszkująca podgórze Beskidu Wschodniego w samem prawie centrum Pokucia, narażona jest na wielkie niebezpieczeństwo wynarodowienia. Trzy są czynniki, które ją jeszcze utrzymują w samowiedzy narodowej: kościół, szkoła ludowa i Sokół, na każdym jednak kroku spotykają się z przeciwnościami, które zwalczać należy. raniom patryotycznie usposobionych jednostek powstaje na kresach wschodnich ostoja polskości, mająca na celu podtrzymywanie i krzewienie ducha narodowego.

Podobną uroczystość obchodziło w ubiegłym tygodniu gniazdo sokole w Berezowie, które dzięki zapobiegliwości swych kierowników i członków mo-



Gniazdo sokole na kresach: Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach sokoli w Berezowie.



**Gniazdo sokole na kresach:** Naczelnik Sokoła w Berezowie, Adolf Kropp.

gło przystąpić do budowy własnej sokolni. Illustracye, nadesłane nam przez naszego korespondenta, przedstawiają uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego i sztandary berezowskiej szlachty i gniazda sokolego, oraz naczelnika „Sokoła".

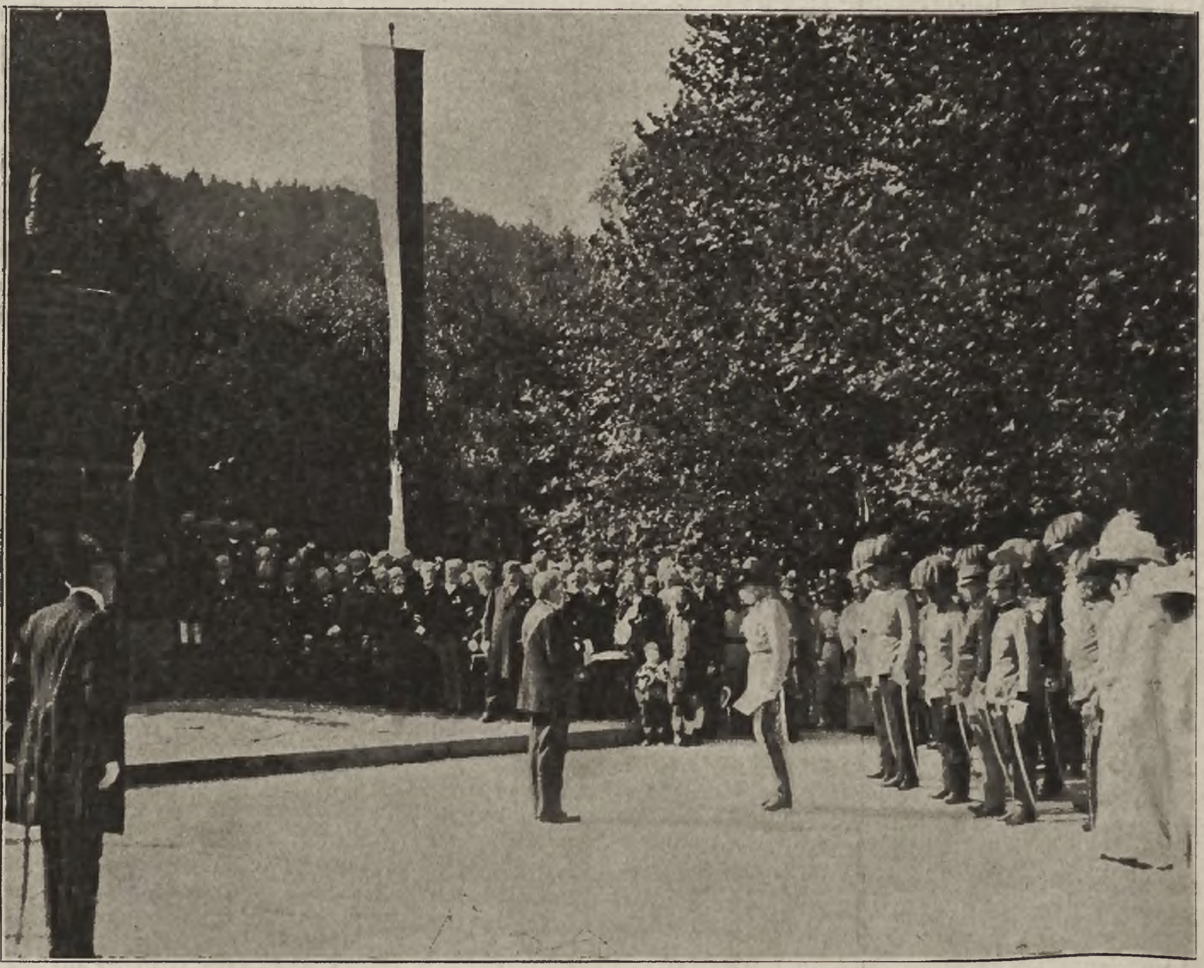
## Setna rocznica walk w Tyrolu.

Lud, zamieszkujący jeden z najpiękniejszych krajów alpejskich, Tyrol, od wieków odznaczał się wielkiem przywiązaniem do domu Habsburgów, do religii katolickiej, oraz do gór i dolin rodzinnych. To też gdy bieg wypadków w pierwszym dziesiątku ubiegłego stulecia sprawił, że Tyrol przyłączony został, z woli wszechmocnego naówczas cesarza Francuzów, częściami do Bawaryi, królestwa Włoskiego i prowincyi świeżo utworzonej, Illiryi, chłopi tyrolscy powstali przeciw obcym najeźdźcom. Bohaterowie ich walki, którą podjęli w 1809 pod wodzą Hofera, Speckbachera, Mayra, Ilospingera i w. innych, żyją do tego czasu w pamięci potomnych, czego najlepszym dowodem są wspaniałe uroczystości pamiątkowe, urządzone w roku bieżącym w Tyrolu.

Kulminacyjnym punktem tych uroczystości było przybycie cesarza w dniu 28 sierpnia do Insbruku, skąd następnie udał się monarcha do Bregencyi, stolicy Przedarulanii (Voralbergu). W stolicy Tyrolu odbył się, pomiędzy innemi uroczystościami, olbrzymi pochód historyczny, w którym wzięło udział 30.000 Tyrolczyków, a który trzy godziny defilował przed cesarzem.

Przed pochodem zaś odprawionem zostało uroczyste nabożeństwo na górze Isel, tuż pod Insbrukiem, gdzie ruchawka tyrolska odniosła świetne zwycięstwo nad Francuzami i Bawarami, którymi dowodził marszałek Lefebvre, w dniu 13 sierpnia 1809 roku i gdzie wznosi się pomnik Hofera, rozstrzelonego w 1810 roku w Mantui na rozkaz Napoleona.

Ryciny nasze przedstawiają: cesarza podczas pontyfikalnej mszy polowej, odprawionej na górze Isel oraz marszałka krajowego, dra Kathreina, gdy u stóp pomnika Hofera przemawia do monarchy imieniem korporacyj strzeleckich całego Tyrolu i Przedarulanii.



**Setna rocznica walk w Tyrolu:** Cesarz podczas pontyfikalnej mszy polowej na górze Isel.



**Setna rocznica walk w Tyrolu:** Marszałek krajowy, dr. Kathrein, przemawia do cesarza u stóp pomnika Hofera.

## Wielki wybuch w gazowni.

Gazownia miejska w Genewie, stolicy Szwajcaryi, była w ubiegłym tygodniu widownią straszliwej katastrofy, która nietylko wyrządziła olbrzymie szkody materyalne, ale spowodowała śmierć i ciężkie pokaleczenie wielu ludzi.

Wybuch nastąpił w godzinach popołudniowych w oddziale czyszczenia gazu, znajdującym się między dwoma gazometrami. Wskutek wybuchu, którego przyczyn na razie nie zdołano zbadać, został cały teren gazowni zalany morzem płomieni.

Miejsce wypadku przedstawiało straszny, grozę budzący obraz. Wszystkie okoliczne budynki legły w gruzach. Wierzch gazometru, który pęknął w dolnej swej części, rzucony został z ogromną siłą na bulwar Saint George. Prócz budynków, należących do gazowni, a więc laboratoryum i biura, odniosły uszkodzenie domy prywatne w promieniu przeszło kilometrowym.

Zaraz po stwierdzeniu strasznej katastrofy, przystąpiono do akcyi ratunkowej. Straż pożarna, jakkolwiek groziło niebezpieczeństwo powtórnych wybuchów, dotarła do samego ogniska pożaru. Mimo rychłej i energicznej pomocy, robotnicy, którzy w chwili wypadku byli zajęci w gazowni, zginęli prawie wszyscy. Zginął również naczelny inżynier gazowni, którego wydobyto z pod gruzów żyjącego wprawdzie, ale tak straszliwie pokaleczonego, że po kilku godzinach mąk zmarł.

Ogółem stwierdzono, iż życie postradało skutkiem eksplozyi 13 ludzi, w tem 3 inżynierów, 1 werkmistrz a 9 robotników. Wśród zabitych był inżynier Parvilly z Paryża, który w czasie wybuchu zwiedzał gazownię. Rannych naliczono przeszło 40 osób.

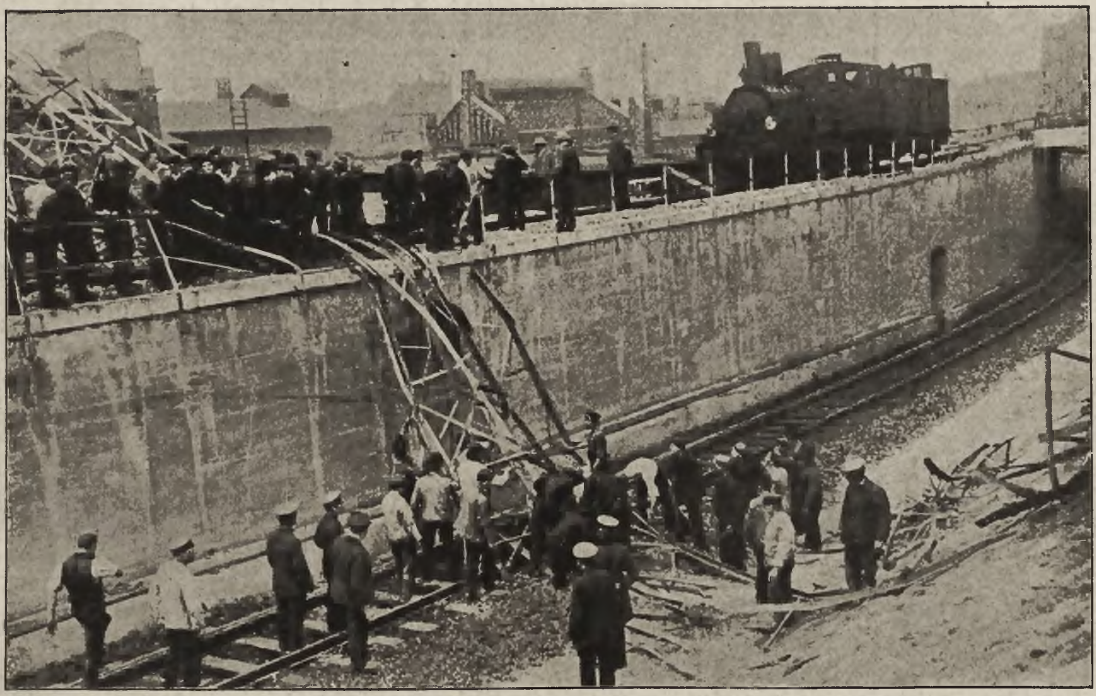
Łatwo zrozumieć, jak ogromną panikę wywołał wybuch w calem mieście. Powiększyły ją pogłoski, że lada chwila należy się spodziewać nowych wybuchów. To też mieszkańcy okolicznych domów, nawet dość daleko położonych, uciekali w przerażeniu daleko, w inne strony miasta, pozostawiając mieszkania bez opieki.

Zniszczenie gazowni spowodowało też gwałtowny brak światła. Całe miasto i wszystkie niemal większe lokale pogrążone były w ciemnościach. Kawiarnie i restauracye oświetlano lampionami.

Zdjęcie nasze przedstawia miejsce katastrofy, podczas akcyi ratunkowej straży pożarnej.

## Osobliwa katastrofa.

Niedawno temu wydarzyła się w Schönbergu, tuż pod Berlinem, katastrofa osobliwszego rodzaju. Na gruntach, należących do „Imperial Continental Gas Associacion", a położonych pomiędzy torami



**Osobliwa katastrofa**: Widok miejsca katastrofy wraz z resztkami rusztowania.

kolei, która prowadzi do Warmsee i południowej kolei okrężnej, budowano olbrzymi zbiornik gazu, o pojemności 160.000 $m^3$. Dookoła tego zbiornika wzniesiono rusztowanie żelazne wysokości 85 metrów, na którego wierzchu umieszczony był wielki kran do windowania.

Otóż w dniu krytycznym, zaraz po godzinie 12 w południe, gdy już na szczęście robotnicy opuścili rusztowanie, cała ta olbrzymia masa żelaza runęła z kolosalnym hukiem na tor kolei okrężnej. Właśnie w tej chwili przejeżdżał tamtędy pociąg osobowy w kierunku Tempelhofu. Wierzchołek rusztowania uderzył w jeden z wagonów III-ej klasy i dach jego zmiażdżył. Prawdziwym cudem nikt z podróżnych, znajdujących się w owym wagonie nie został zabity, a tylko dwie osoby odniosły cięższe, dwie zaś inne lżejsze poranienia. Pociąg się nie wykoleił.

Przyczyny tej katastrofy, którą illustrują nasze ryciny, są dotąd nieznane. Zachodzi podejrzenie, że niezbyt solidnie skonstruowane rusztowanie, wskutkiem ciągłych wstrząśnięć gruntu, powodowanych przejazdem pociągów, rozluźniło się, a silny wiatr był bezpośrednią przyczyną katastrofy, która tylko trafem nie przybrała większych rozmiarów.



**Osobliwa katastrofa**: Zrujnowany przez zawalenie się rusztowania wagon kolei.

# Trzykołowy samochód.

Coraz piękniej rozwijający się sport samochodowy daje podnietę do coraz nowszych i śmielszych pomysłów na tem polu. Ostatnim wyrazem postępu w automobilizmie jest najnowszy, u nas dotychczas mało znany, typ trzykołowego wozu samochodowego, nazwanego „Fenomobilem".

Jak widać z ryciny, przedstawiającej ten typ samochodu, a zamieszczonej w dzisiejszym numerze *Nowości illustrowanych*, jest to lekki i ogromnie pojedynczy wóz. Pierwszorzędną jego zaletą jest już to, iż kierować nim może każdy człowiek, bez potrzeby specyalnych studyów, utrzymywanie więc szofera jest zbyteczne. Także sprawa czyszczenia wozu nie przedstawia żadnych trudności. „Fenomobil" jest każdej chwili gotów do użycia.

Cena takiego samochodu jest stosunkowo bardzo niska. Nie brak wprawdzie wozów tańszych, z tych jednak żaden nie dorównywa „Fenomobilowi" ani pod względem szybkości, ani pod względem siły pociągowej, ani pod względem wytrzymałości.

Natomiast koszta utrzymania „Fenomobilu", ilość zużywanej benzyny, oliwy itd., są bez porównania mniejsze, niż przy którymkolwiek innym samochodzie.

Siła pociągowa tego wozu jest bardzo znaczna (około 300 kg.), szybkość zaś dochodzi 60 klm. na godzinę. Ważną zaletą jego jest też to, iż nawet znaczne wzniesienie terenu pokonywa bez trudności.

Konstrukcya „Fenomobilu" jest bardzo silna i wytrzymała, toż samo motor (o sile 6—7 HP), którego pojedyncza budowa budzi wprost zdumienie.

Co do szczegółów mechanizmu i jego zalet, odsyłamy ciekawych do specyalnych cenników, tu tylko zaznaczyć jeszcze należy, że znakomite resory, umieszczone także przy przedniem kole, chronią cały wóz od wstrząśnień i zapewniają mu trwałość na długie lata. Nieduży a bardzo wygodny ten wóz łatwo też da się pomieścić w jakiejkolwiek ubikacyi, nie wymagając specyalnej garaży.

Są to wszystko zalety, ważne zwłaszcza dla tych, których środki materyalne są ograniczone i nie pozwalają na utrzymywanie zajazdu, szofera itd.

Prócz typu, który przedstawia nasza rycina, a który przeznaczony jest dla dwu osób, są „Fenomobile", mogące pomieścić trzy albo i cztery osoby.

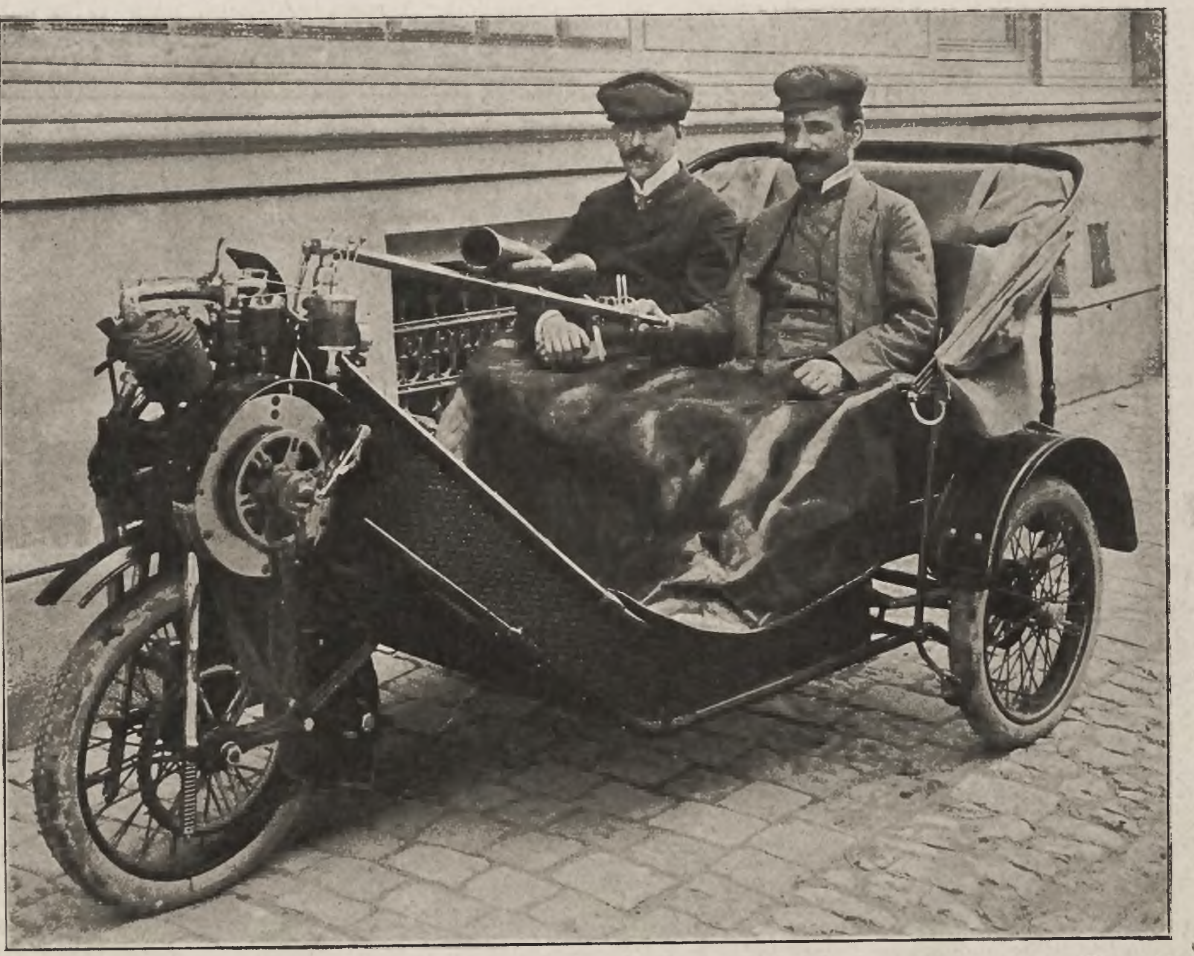
Przeciętna cena takiego samochodu, na dwie osoby, wynosi około 3.500 koron, a zastępstwo na zachodnią Galicyę i Kraków mają pp. L. Jabłoński i Sp.



**Wielki wybuch w gazowni**: Ruiny miejskiej gazowni w Genewie.

## Głosy publiczne.

**Wystawa pośmiertna prac Michała Pociechy** została otwarta 1-go września w gmachu krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, przy placu Szczepańskim. Wystawa ta jest niezmiernie interesująca, bo daje dokładne pojęcie o twórczości przedwcześnie zmarłego, a bardzo utalentowanego artysty, którego wadą największą była zbyteczna skromność i niedowierzanie własnym siłom. Prace jego, przeważnie doskonałe **krajobrazy akwarelowe i studya** —



Trzykołowy samochód: „Fenomobil“.

łówkiem, wypełniają dwie sale, a jest to zaledwie cząstka tego, co stworzył Pociecha, malarz bardzo pracowity, w ciągu swej karyery artystycznej. Należy się spodziewać, że wystawa dzieł Pociechy będzie się cieszyła liczną frekwencyą, bo rzeczywiście zasługuje na nią ze względu na ilość i dobór prac, jakie zawiera.

**Dzieje Insurrekcyi Kościuszkowskiej.** Napisał *Kazimierz Bartoszewicz.* Wiedeń, nakładem Franciszka Bondego. Str. 395, 126 rycin i 12 chromolitografij.

Swieżo ukazało się na pułkach księgarskich pod powyższym tytułem, dzieło jedyne w swoim rodzaju, bo dające jasny i wyczerpujący obraz tej tak doniosłej chwili w dziejach naszego narodu. Dawniejsze prace historyczne, zresztą niezbyt liczne, tyczące się wypadków 1794 roku, dziś są już przestarzałe i traktują je, albo epizodami, albo z uwzględnieniem przeważnie biografii, jak n. p. praca Korzona. Bartoszewicz pogłębił swe dociekania, wynalazł nowe źródła i postawił sobie za zadanie napisać studyum gruntowne, w którym ludzie i wypadki onego czasu stanęły żywo i wprawdziwem świetle przed naszemi oczyma. Z zadania tego autor świetnie się wywiązał, w czem były mu pomocne: jego ogromna erudycya, zamiłowanie do przedmiotu i styl potoczysty. „Insurrekcyę“ czyta się z taką łatwością i zajęciem, jak gdyby to nie było poważne dzieło naukowe. Prześliczne, zbytkowne wydanie tej książki, usposabia dla niej sympatycznie Czytelnika, już wtedy, gdy ją bierze do ręki.

**Teatr „Urania“.** We środę 1-go września b. r. rozpoczął w „Teatrze Rozmaitości“ w Parku krakowskim „Teatr Urania“ szereg przedstawień kinematograficznych.

Programy tego przedsiębiorstwa składać się będą przeważnie z oryginalnych zdjęć z natury i naukowych na wzór „Teatrów Urania“ we wszystkich większych miastach Europy. Atrakcyą pierwszego programu będzie najnowsze zdjęcie olbrzymiej stolicy Anglii Londyn.

**„Chromofotoskop“ oraz filia „Stereoglob“.** Po dłuższej przerwie, użytej na gruntowne odnowienie lokali, otworzyły z dniem 25-go sierpnia br. *„Chromofotoskop“ i „Stereoglob“* swoje podwoje w dawnych lokalach przy ulicy Floryańskiej l. 4 parter oraz przy ulicy Szewskiej l. 15 w parterze Zarząd ma nastosunki z pierwszorzędnymi artystycznymi zakładami i będzie w możności wystawiać widoki najnowszych zdjęć z różnych części świata, oddających naturę tak pod względem perspektywy jak i plastyki z niezrównaną dokładnością i bez błędów, znanych wszystkim zajmującym się fotografią. Zastosowane achromatyczne szkła francuskie powiększające, zaopatrzone są przyrządem do przesuwania stosownie do siły zwroku, wskutek czego widz nie może odczuwać żadnego znużenia oczu. Do dalszych udoskonaleń dodać należy jeszcze zabarwienie artystyczne każdego szczegółu w jego naturalnej barwie. Z prawdziwem zadowoleniem oko widza spoczywa na tych pięknych obrazach, oddających w najdrobniejszych szczegółach, z naturalną wiernością wspaniałe widoki przyrody.

„Chromofotoskop“ oraz filia „Stereoglob“ ul. Szewska l. 15 parter, przedstawiać będą co sobotę coraz inne widoki natury, podróże naukowe, odkrycia i wynalazki, stolice świata, internsujące sceny z dziejów społecznych, muzea i dzieła sztuki; słowem świat i życie w barnych obrazach plastycznych.

Obecne bardzo interesujące serye: *„Ostatnia katastrofa w Messynie“. „Paryż i skarby sztuki Louwrze.“* wystawione będą tylko do piątku 3go września b. r. następnie od 4go do 10go września p. r.

*„Zwierzyniec cesarski w Schönbrumie i Wenecya.“*

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 34.

**Szarada.** Panorama.

**Zagadka do przestawienia.** Głową muru nie przebijesz

**Szarada.** Zakopane.

**Zagadka przysłowiowa.**

Jest to cnota nad cnotami.
Trzymać język za zębami.

**Logogryf.** Marya Rodziewiczówna.

**Zaganie konikowe.**

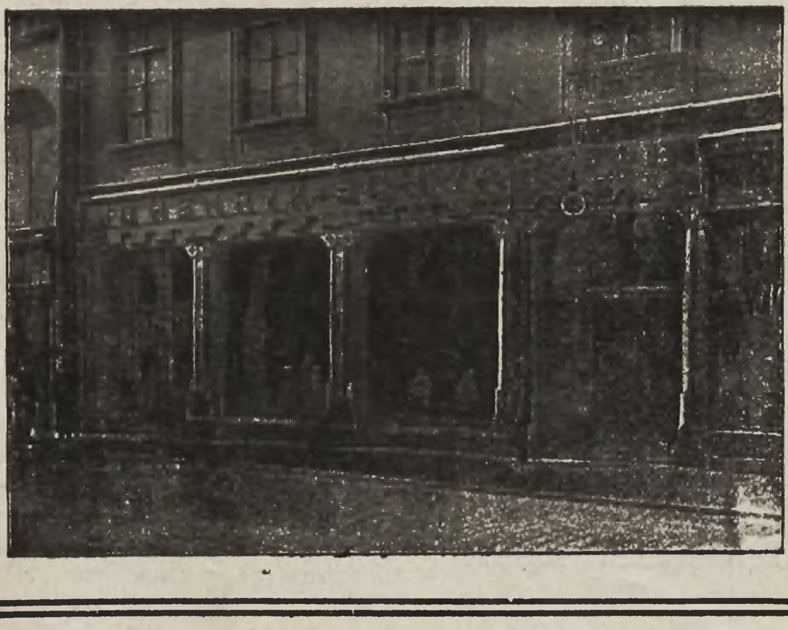
O szalony, gdzio on goni?
Tam od ostrych słonca grotów
Głowy jego nie osłoni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów,
Tam jeden namiot niebiosa!
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują.

**Przestawienie:** Wojna w Marokku.

*Dobre rozwiązanie nadesłali Pp:* B. Berger Lwów, O. Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja, M. Liskowacki Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A Dziewoński Przemyśl, H. Drzymuchowski Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, O. Lewensohn Kraków, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, J, Szczęsnowicz Płock, A. Biliński Tarnopol, H. Minasowicz Rzeszów, S. Wiśniowski Kraków, S. Karwowski Poznań, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwołoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów, Z de Boulangé Gawłówek, K. Lohn Warszawa, S. Naganowski Warszawa, M. Łopatkiewicz, M. Bartmańska i Z. Więckowski Krynica, J. Piękoś Brody, M. Januszówna Przemyśl, G. Hajduk J. Winkowska Tarnopol, F. Gebhardt Muszyna, J. Plaszecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabieszewski Bochnia, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski i Z. Wiśniewski Lwów, Brzesko M. Roznerska Rzeszów, B. Michalec Kraków, St Krzyżanowski Kraków, B. Mulecki Kraków, W. Ostrowski Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *H. Minasowicz, Rzeszów.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.





MAURYCY LEBLANC.

# WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

## I.

### WYSTRZAŁ.

Elżbieta nadstawiła uszu. I znowu w ciszy nocnej doleciał ją szmer, lecz tak lekki i słaby, iż nie mogła poznać, czy pochodzi zbliska czy zdaleka, czy rozlega się w murach zamku, czy też szumi w cienistych szpalerach parku. Ostrożnie podniosła się i otworzyła szeroko przymknięte okno. Blask księżyca oświecał słabo kląby i trawniki, wśród których ciemniały jak groźne pomniki, zwaliska starego opactwa, arkady, kolumny, nawy i portyki. I nagle ten sam szmer... Słychać go było z lewej strony pod nią, a więc w salonach, w zachodniem skrzydle zamku. Mimo, iż była odważną i silną, przejął ją lęk. Zarzuciła na siebie pospiesznie peniuar i wzięła zapałki.

— Elżuniu... Elżuniu...

Jakiś słaby jak tchnienie głos, wołał ją z sąsiedniego pokoju, w którym drzwi były otwarte. Skierowała się w tamtą stronę poomacku, gdy nagle kuzynka jej Zuzanna wyszła z tego pokoju i ujęła ją za ręce.

— Elżuniu... to ty?... Słyszałaś?...

— Tak... to ty nie śpisz?

— Zdaje mi się, iż pies mnie obudził... już dawno... Teraz już nie szczeka. Która godzina może być?

— Około czwartej.

— Słuchaj... Ktoś chodzi po salonie, z wszelką pewnością.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa, przecież twój ojciec, Zuzanno, tam jest.

— Ale może jemu grozi jakie niebezpieczeństwo? Sypia obok małego salonu.

— Pan Daval jest tam także...

— W drugim końcu zamku... Jakże on może usłyszeć?

Wahały się, nie wiedząc na co zdecydować się. Krzyczeć? Wołać na pomoc? Nie śmiały, bojąc się nawet dźwięku własnego głosu. Lecz Zuzannie, która tymczasem zbliżyła się do okna, wyrwał się okrzyk:

— Patrz... jakiś człowiek koło basenu...

Istotnie jakiś mężczyzna oddalał się szybko. Pod ręką niósł przedmiot dość znacznych rozmiarów, który mu nieco przeszkadzał. Widziały, jak minął starą kaplicę i skierował się do małych drzwi, ukrytych w murze. Drzwi te musiały być otwarte, gdyż mężczyzna ów znikł w nich nagle, nie wywołując wcale zwykłego skrzypu zawias.

— On szedł z salonu — szepnęła Zuzanna.

— Nie, idąc przez schody i westibul, musiałby się znaleść więcej na lewo... Chyba, że...

Jedna myśl je przeniknęła. Wyjrzały przez okno i zobaczyły opartą o pierwsze piętro drabinę. Drugi mężczyzna, który również coś niósł, schodził właśnie z kamiennego balkonu po drabinie i uciekł tą samą drogą.

Przestraszona Zuzanna opadła prawie bez sił na ziemię, szepcąc:

— Zawołajmy... zawołajmy na pomoc...

— Kto przyjdzie? Twój ojciec... A jeżeli tam są jeszcze inni ludzie... i rzucą się na niego?...

— Wtedy... wtedy można wezwać służbę... twój dzwonek połączony jest z ich mieszkaniem.

— Tak... tak... może to będzie dobre... Oby tylko przybyli w porę!

Elżbieta natrafiła po ciemku na dzwonek elektryczny, znajdujący się koło jej łóżka i nacisnęła guzik. Zabrzmiał metaliczny dźwięk, tak ostry, iż zdało im się, że musiał on rozlegać się we wszystkich salonach. Czekały. Milczenie stawało się coraz straszniejsze, gdyż nawet wiatr, poruszający liśćmi drzew, przestał szemrzeć.

— Boję się... boję się... — powtarzała Zuzanna.

I nagle pod niemi, w głębokiej ciszy nocnej, powstał odgłos jakiejś walki, hałas przewracanych mebli, urywane słowa, krzyk, potem przerażające gardłowe jęczenie, jakby charkot duszonego człowieka. Elżbieta skoczyła ku drzwiom. Zuzanna uczepiła się rozpaczliwie jej ramienia.

— Nie... nie... nie pozostawiaj mnie... boję się...

Elżbieta odepchnęła ją i wybiegła na korytarz, a zaraz za nią podążyła i Zuzanna, czepiając się murów i krzycząc przeraźliwie. Dopadła schodów i staczając się prawie po stopniach, wpadła do wielkiego salonu, gdzie jak wmurowana zatrzymała się na progu, mając przy sobie omdlewającą z przestrachu Zuzannę. Na trzy kroki przed nią stał jakiś mężczyzna z latarnią w ręku. Jednym ruchem skierował ją na młode dziewczęta, oślepiając je światłem, spojrzał na ich blade twarze i bez najmniejszego pospiechu, zupełnie wolno włożył czapkę, podniósł skrawek papieru i dwa kawałki słomy, starł ślady z dywanu, zbliżył się do balkonu, poczem skłonił się im głęboko i znikł.

Zuzanna pierwsza pobiegła do małego buduaru, oddzielającego wielki salon od pokoju jej ojca. Przy wejściu obecmało ją przerażający widok. Przy skośnem świetle księżyca spostrzegła na podłodze dwa nieruchome ciała, leżące obok siebie. Pochyliła się nad jednym.

— Ojcze!... Ojcze!... To ty?... Co ci się stało?... — zawołała z rozpaczą.

Po chwili hrabia de Gesvres poruszył się i rzekł słabym głosem:

— Nie bój się... nie jestem raniony... A Daval! Czy żyje! Nóż... nóż?...

Jednocześnie nadbiegło dwóch służących ze świecami. Elżbieta przyklękła przy drugiej osobie i poznała w niej Jana Davala, sekretarza i zaufanego hrabiego. Na twarzy jego malowała się już śmiertelna bladość. Był to już trup. Podniosła się i szybko wróciwszy do salonu, pochwyciła ze ściany strzelbę, o której wiedziała, że jest nabita i wybiegła z nią na balkon. Nie upłynęła jeszcze minuta od chwili, gdy nieznajomy znikł na drabinie. Nie mógł on być daleko, zwłaszcza iż musiał odstawić drabinę, by nikt z niej nie mógł skorzystać. W istocie dojrzała go, jak mijał zwaliska starego klasztoru. Wymierzyła w niego i strzeliła. Człowiek ten upadł.

— Doskonale! zawołał jeden ze służących, tego mamy. Biegnę tam.

— Nie, Wiktorze, on się podnosi... proszę iść po schodach do małych drzwiczek. On tylko tamtędy może uciec.

Wiktor spieszył się, lecz zanim znalazł się w parku, mężczyzna ten upadł znowu. Elżbieta zawołała drugiego służącego.

— Czy Albert widzi go tam? przy wielkiej arkadzie?

— Tak... czołga się po trawie... nic już z niego nie będzie...

— Proszę stąd uważać na niego.

— Nie ma on już możności do ucieczki. Na prawo ruiny, otwarty trawnik...

— A Wiktor pilnuje drzwi na lewo — dodała, biorąc ponownie strzelbę.

— Ale panienka tam nie pójdzie?

— Owszem! — rzekła stanowczo.. pozostał mi jeszcze jeden nabój... Jeżeli się ruszy...

Wyszła. W chwilę potem Albert widział, jak skierowała się do murów. Zawołał więc do niej z okna:

— Zaczołgał się za arkadę. Już go nie widzę... proszę uważać...

Elżbieta okrążyła stary klasztor, by przeciąć drogę uciekającemu i wkrótce Albert stracił ją z oczu. Nie widząc jej przez kilka minut, zaniepokoił się i bacząc ciągle na ruiny, postanowił spuścić się na dół po drabinie. Gdy mu się to udało, pobiegł wprzód do arkady, przy której człowiek ten ukazał się po raz ostatni. O trzydzieści kroków dalej znalazł Elżbietę, która razem z Wiktorem szukała w zwaliskach.

— I co? zapytał.

— Nie można go schwytać — odpowiedział Wiktor.

— A małe drzwi?

— Idę stamtąd... oto klucz.

— On musi tu być jednak...

— Oh! sprawa jego skończona... Za dziesięć minut bandyta będzie w naszych rękach.

Obudzony wystrzałem strzelby, nadbiegł także fermer z synem, którego zagroda wznosiła się dość daleko co prawda, ale w obrębie jeszcze zamku; nie spotkali jednak nikogo.

— Do licha! — zawołał Albert — opryszek ten nie mógł opuścić murów... Wykurzymy go z jakiejś jamy.

Zorganizowali prawidłową obławę, przeszukując każdy krzak, zaglądając w gąszcza bluszczu, który wielkiemi masami piął się dokoła kolumn. Przekonano się, że kaplica jest zamknięta i wszystkie witraże całe. Znowu obeszli klasztor i przepatrzyli wszelkie zakątki. Poszukiwania były jednak daremne.

Uczyniono jedno tylko odkrycie: w miejscu, gdzie człowiek ten padł rażony kulą Elżbiety, znaleziono czapkę szofera z miękkiej skóry. Poza tem nic więcej.

O szóstej godzinie rano zawiadomiono żandarmeryę w Ouville la-Riviera, która udała się na miejsce przestępstwa i natychmiast wysłała do prokuratoryi w Dieppe notę o okolicznościach zbrodni, o rychłem przypuszczalnie schwytaniu winowajcy, znalezieniu jego czapki i sztyletu, którym dokonał zamachu. O dziesiątej godzinie dwa wynajęte powozy zatrzymały się przed zamkiem. W jednym znajdował się zastępca prokuratora i sędzia śledczy ze swym pisarzem, w drugim siedziało dwóch młodych reporterów, przedstawiciel *Dziennika Roueńskiego* i jakiejś wielkiej gazety paryskiej. Przez chwilę przypatrywali się zamkowi. Dawne opactwo zburzone w czasie rewolucyi, zostało odrestaurowane przez hrabiego de Gesvres, do którego należy już do lat dwudziestu. Składa się ono z głównego budynku, zakończonego wieżyczką z zegarem i z dwóch skrzydeł, otoczonych kamienną balustradą. W nim mieszka

hrabia, wysoki o pięknej postawie i siwiejących włosach mężczyzna wraz ze swą córką Zuzanną, wdzięczną lecz słabowitą blondynką i siostrzenicą Elżbietą de Saint-Veran, którą zaopiekował się przed dwoma laty, gdy nagle straciła swoich rodziców. Chociaż bardzo bogaty, hrabia osobiście kierował swym majątkiem i dozorował obszernych swych włości, przy pomocy tylko sekretarza Jana Davala.

Sędzia śledczy zaraz przy wejściu otrzymał pierwsze szczegóły od brygadyera żandarmeryi Quevillona. Schwytania winowajcy, mimo iż ono było nieuniknione, jeszcze nie dokonano, czuwano jednak bacznie nad wszystkiemi wyjściami z parku. Ucieczka była niemożliwa.

Całe towarzystwo przeszło następnie przez salę kapitulną i refektarz, położony na partecze i udała się na pierwsze piętro. Porządek w salonie był widoczny. Każdy mebel, każdy drobiazg stał na swem miejscu i nie można było dostrzedz między niemi żadnego braku. Na prawo i na lewo wisiały wspaniałe dywany flamandzkie. Ścianę w głębi zdobiły cztery piękne płótna w starych ramach, przedstawiające sceny mitologiczne. Były to sławne obrazy Rubensa, które hrabia de Gesvres otrzymał w spadku razem z flamandzkimi dywanami po swoim wuju, grandzie hiszpańskim, markizie de Bobadilla.

Pan Filleul zauważył:

— Jeżeli pobudką zbrodni była kradzież, to w każdym razie jej ofiarą nie stał się ten salon.

— Kto wie! — odparł zastępca prokuratora, który mówił mało, lecz zawsze wbrew zdaniu sędziego.

— Przecież pierwszą troską złoczyńcy byłoby skradzenie tych dywanów i obrazów o wszechświatowej sławie.

— Może nie miał na to czasu.

— Przekonamy się o tem ze śledztwa.

W chwili tej właśnie wszedł hrabia de Gesvres w towarzystwie lekarza. Hrabia, który zdawał się już zapominać o napadzie, jakiego stał się ofiarą, powitał urzędników i otworzył drzwi do buduaru. Pokój, do którego oprócz lekarza nikt nie wstępował od spełnienia zbrodni, znajdował się, w przeciwieństwie do salonu, w największym nieporządku. Krzesła leżały poprzewracane, stół złamany, stojący zaś zegar i różne przedmioty z biurka rozrzucone były po podłodze. Na rozsypanych arkuszach papieru listowego widniała krew. Lekarz podniósł prześcieradło, okrywające zwłoki Davala. Jan Daval w swem codziennem pluszowem ubraniu, w trzewikach podkutych gwoździami, leżał na plecach z jedną ręką zawiniętą pod siebie. Miał już zdjęty z szyi kołnierzyk, przez rozpiętą zaś koszulę widać było szeroką ranę na piersiach.

— Śmierć musiała być natychmiastowa — oznajmił doktór — jeden cios nożem wystarczył.

— To zapewne ten nóż — odezwał się sędzia — jaki spostrzegłem na kominku w salonie przy skórzanej czapce.

— Tak jest — potwierdził hrabia — nóż podniesiono tutaj; wisiał on na ścianie w salonie przy strzelbie, z której skorzystała moja siostrzenica, panna de Saint-Veran. Co zaś do czapki, to zapewne należy ona do zabójcy.

Pan Filleul zbadał jeszcze kilka szczegółów w pokoju, zadał parę pytań lekarzowi, potem poprosił hrabiego, by mu opowiedział to, co widział i co wie. Hrabia podał następujące fakty.

— Obudził mnie Jan Daval. Spałem zresztą źle, budząc się często z wrażeniami, że słyszę jakieś kroki, gdy nagle, otworzywszy oczy, ujrzałem go przy swem łóżku ze świecą w ręku i ubranego... jak obecnie, gdyż często pracował do późnej nocy. Wydał mi się bardzo niespokojny i rzekł po cichu: „Jacyś ludzie są w salonie“. Istotnie dosłyszałem szmer. Wstałem i uchyliłem ostrożnie drzwi tego buduaru. W tej samej jednak chwili pchnięto drzwi, wychodzące do salonu i ukazał się w nich jakiś człowiek, a rzucając się na mnie ogłuszył mnie uderzeniem pięści w skroń. Opowiadam to panu sędziemu bez żadnych szczegółów, gdyż przypominam sobie tylko ważniejsze fakty, które zresztą odbywały się z błyskawiczną szybkością. Potem, nie wiem już nic... omdlałem. Gdy ocuciłem się, Daval leżał przy mnie raniony śmiertelnie.

— Czy nie posądza pan nikogo?

— Nikogo.

— Czy niema pan nieprzyjaciół?

— Przynajmniej nie znam żadnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Zagadki do nagrody.

### Szarada.

Ułożył J. T. Kraków.

Zbrodniarz obawia się pierwszego z drugiem,
Trzecie skorupiak, znany w każdym kraju.
Drugiem i trzeciem dziecię swego ojca
Nazywać chętnie ma w swoim zwyczaju.
Trzecia odwrotnie z czwartą wprost czytana,
Do zabaw służy, a każdy ci powie,
Że dzięki onej niejeden już stracił,
Szczęście i honor, majątek i zdrowie.
Całość dwojakie może mieć znaczenie:
Jedno i drugie dość rzadkie na świecie
Pierwszego szukaj na niezdrowem oku,
A drugie znowu na rzece znajdziecie.

### Logogryf.

Ułożył J. T. Kraków.

Środkowe litery wynalezionych wyrazów czytane z góry na dół, dadzą zdarzenie, które w ubiegłym tygodniu poruszyło całą Europę.

— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —
— □ —

*Znaczenie wyrazów:* 1. Rodzaj drzewa. 2. Członek najbliższej rodziny. 3. Miejscowość w Finlandyi. 4. Dawna broń. 5. Wykrzyknik. 6. Austryacki powieściopisarz. 7. Liczebnik. 8. Tytuł turecki. 9. Krzew ogrodowy. 10. Rzeka w Tyrolu. 11. Roślina uprawiana przez naszych wieśniaków. 12. Imię żeńskie. 13. Inaczej sława, 14. Brat śmierci.

### Łamigłówka teatralna.

Ułożyła M. Br. Urbańska, Kraków.

Wynaleźć tytuły następujących utworów scenicznych:

1. Tragedya Słowackiego.
2. Sztuka Zapolskiej.
3. Opera Rubinsteina.
4. Utwór sceniczny Szekspira.
5. Tragi-farsa Zapolskiej.
6. Opera Czaykowskiego.
7. Popularna niegdyś operetka Souppégo.
8. Dramat Ibsena.
9. Opera Wagnera.
10. Opera Verdiego.
11. Sztuka ludowa Anczyca.
12. Opera Mayerbeera.
13. Opera Gounoda.
14. Opera Wagnera,
15. Sztuka osnuta na tle Quo Vadis.

Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, dadzą tytuł opery Pucciniego, grywanej w obecnym sezonie w Krakowie z wielkiem powodzeniem,

### Łamigłówka.

Ułożył J. Zirler. Rohatyn.

Uzupełnić podane niżej wyrazy. Początkowe ich litery czytane z dołu do góry, dadzą nazwiska dwu przywódców rewolucyi francuskiej.

— arol
— nega
— eren
— arwa
— tlas
— awid
— oruń
— zory
— adom
— njou
— arka

### Łamigłówka historyczna.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Podać nazwiska osób, które odegrały ważną rolę w następujących zdarzeniach historycznych.

1. Sekularyzacya Prus.
2. Zjednoczenie Polski.
3. Wojna rosyjsko-turecka.
4. Wojny perskie.
5. Powstanie Niderlandów.
6. Konfederacya targowicka.
7. Synod w Clermont.
8. Reformacya.
9. Walki plebejuszów z patrycyuszami.
10. Bitwa pod Issos.

Początkowe litery nazwisk, czytane z góry na dół, utworzą znaną nazwę średniowiecznej ugody między tronem, a książętami.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Edmunda Zechentera:* **„Z chłopskiej niwy“.**